



CAROLE MORTIMER

Dwie obrączki

Tytuł oryginału:
A Yuletide Seduction



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Złoto. Lśniące, parszywe złoto.

Nie chciała go dotykać ani odczuwać jego ciężaru na lewej ręce dłużej niż to konieczne. To złoto parzyło, paliło aż do kości.

Ściągnęła obrączkę z palca. Nie wymagało to żadnego trudu. Od czasu gdy zaczęła ją nosić, ręce bardzo jej zeszczuplały i kółeczko przesuwało się luźno.

Och, jakże pragnęła, żeby ta obrączka wreszcie spadła i żeby nigdy więcej nie musiała jej oglądać. Pozbyłaby się jej już dawno, tygodnie, miesiące temu, ale pochłaniały ją inne sprawy. Cieniutki złoty krążek nie wydawał się istotny. Teraz jednak był sprawą ważną. Stanowił jedyny materialny ślad tego, że kiedyś, kiedyś tam, była...

Zacisnęła dłoń, w której zamknęła obrączkę, tak mocno, że aż poczuła wbijające się w ciało paznokcie. Ból i ślad krwi nie przstraszyły jej. Przeciwnie, witała je z jakąś wewnętrzną radością. Świadczyły o tym, że naprawdę żyje. Cały jej dotychczasowy świat rozpadł się. Przeszłość legła w gruzach, nie pozostało z niej nic. Tylko ona sama. I ta obrączka. Rozpostarła zaciśnięte palce i patrząc na nią, walczyła przez moment ze wspomnieniami, które wywołał jej widok. Kłamstwa! Same kłamstwa!

A teraz... On nie żył, tak jak martwe było kiedyś ich małżeństwo. Boże, nie! Nie trzeba, nie wolno płakać. Ani teraz, ani nigdy. Nigdy więcej! Zamrugła, wstrzymując łzy,

nim zdążyły popłynąć spod powiek. Musiała pamiętać, stale pamiętać, nim wreszcie pozwoli sobie na zapomnienie. Jeśli w ogóle się to kiedyś stanie.

Najpierw jednak musiała pozbyć się tej obrączki. Żeby nie mieć jej wciąż na widoku, żeby nie rzucała się w oczy innym. Zamknęła ją ponownie w dłoni, tym razem lekko, uniosła rękę i zamachnęła się z całej siły. Zobaczyła, jak w zwolnionym kadrze, przecinający powietrze błysk, a potem maleńki krąg rozchodzącej się fali w bystrym nurcie rzeki. Rzeka połknęła złoto i zagrzebała je gdzieś w mulistym dnie.

Trzeba było kilku sekund, tej krótkiej chwili, w której wstrzymała oddech, by uświadomić sobie, że to się stało. Ostatecznie. Nieodwracalnie. Była wolna. Takiego uczucia wolności nie doświadczała od bardzo, bardzo dawna. Tylko co z tą wolnością miała zrobić?

ROZDZIAŁ DRUGI

- Zanieś filiżanki i... - Jane urwała w pół zdania spokojne polecenie, jako że jedna z filiżanek z chińskiej porcelany spadła właśnie na podłogę i rozbiła się na kawałeczki. Trzy pracujące w kuchni kobiety spojrzały jednocześnie w dół, a Paula, ta, która ją upuściła, miała prawdziwy obłęd w oczach.

- Jane, bardzo przepraszam. Nie wiem, jak się to stało. Naturalnie zwrócę pieniądze. Ja...

- Nie wariuj - uciszyła ją łagodnie Jane.

Niegdyś - jeszcze nie tak dawno - taki wypadek przy pracy i ją samą wprawiłby w stan paniki; kwota, którą musiałaby zwrócić za zbitą filiżankę, stanowiłaby poważny uszczerbek w zarobku za przygotowanie prywatnej kolacji w cudzym domu. Ale te czasy na szczęście już minęły. - Obecnie mogła sobie pozwolić na nieduże straty bez poczucia katastrofy. Poza tym, ponieważ zgodnie z oczekiwaniami pani domu, Felicity Warner, wieczór miał przynieść rodzinie zasadnicze korzyści, utrata jednej filiżanki z serwisu na dwanaście osób nie powinna nikogo specjalnie zmartwić.

- Zanieś je. - Jane zastąpiła filiżankę inną, dostawiając ją ostrożnie do siedmiu na tacy. - A ty, Rosemary, kawę. Posprzątam szkło. - Ścisnęła uspokajająco Paulę za rękę i dwie kobiety wyszły z kuchni, by podać kawę Warnerom i szóstce ich gości.

Kiedy ze śmietniczką i szczotką w ręku pochyliła się nad okruchami filiżanki, ogarnął ją pusty śmiech. W ciągu dwóch

lat, które upłynęły od chwili, gdy jako jednoosobowa firma zaczęła się zajmować cateringiem, czyli urządzeniem ekskluzywnych przyjęć w domach zamożnych, wpływowych ludzi, dorobiła się na tyle, że mogła zatrudniać dziewczyny do pomocy. A mimo to znów znalazła się w pozycji na kolanach. Pewne rzeczy po prostu nigdy się nie zmieniają.

- Jane, moja droga, muszę ci powiedzieć... - W drzwiach kuchni pojawiła się Felicity Warner, a widząc, że Jane klęczy za kontuarem, zatrzymała się w pół kroku. - Hej, co się stało?

Jane wyprostowała się, podnosząc do góry śmietniczkę z zbitą porcelaną.

- Oczywiście za nią zwrócimy.

- Ależ skąd! Nawet o tym nie myśl. - Pani domu zbagatelizowała natychmiast sprawę. Pewna afektacja, z jaką mówiła, wydawała się całkowicie naturalna u tej eleganckiej, ślicznej kobiety, szczupłej, ubranej w krótką, obcisłą sukienkę. Uszczęśliwioną twarz zdobiły rozpuszczone, długie rude włosy. - Jak dobrze pójdzie, to po dzisiejszym party będę mogła kupić nowy serwis, a to stare badziewie wyrzucić do śmieci!

Ładne mi „badziewie”, pomyślała Jane. Komplet delikatnej chińskiej porcelany wart był raczej kilka tysięczków niż setek.

- A zatem udało się? - Odłożyła na bok śmietniczkę, oszczędna w ruchach i jak zawsze opanowana.

- Czy się udało?! - Felicity ze śmiechem klasnęła w ręce. - Jane, kochana, po tych pysznościach, którymi nas uraczyłaś, Richard gotów jest rozwieść się ze mną i ożenić z tobą.

Zadowolony uśmiech Jane nie zbladł ani na sekundę, chociaż sama myślała o małżeństwie, choćby nawet z kimś tak sympatycznym jak Richard Warner, budziła w niej najwyższą niechęć. Felicity zresztą żartowała: jej mąż uwielbiał i ją,

i ich dwie małe córeczki. Świadomość, że wieczór wypadł pomyślnie dla miłej pary, cieszyła jednak Jane. Zamówienie na urządzenie kolacji u Warnerów przyjęła w ostatniej chwili tylko dlatego, że ktoś inny się wycofał. A z tego, co Felicity zdążyła opowiedzieć po południu, jej mężowi w ostatnich miesiącach nie wiodło się w interesach. Trochę szczęścia dla odmiany na pewno by się im przydało.

Widziały się po raz pierwszy w życiu, ale Felicity okazała się osobą ciepłą i bardzo komunikatywną; prawdę powiedziawszy, zagadywała ją przez całe popołudnie. Działo się tak zapewne częściowo dlatego, że denerwowała się trochę, jaki będzie efekt nadchodzącego spotkania. Rozumiejąc to, Jane pozwoliła jej mówić, a sama zajmowała się kolacją. Wszystko, co tego wieczoru pojawiło się na stole, przygotowała osobiście - nawet krem czekoladowy, który obecnie podały do kawy. Oznaczało to, że w domu swojej klientki musiała spędzić sporo czasu, nim całość była gotowa. Felicity, świadoma tego, jakie znaczenie - dla jej męża i dla całej rodziny - miał ten wieczór, nie odstępowała Jane i przez kilka godzin bez przerwy mówiła. Jane miała wrażenie, jakby знаła tę rodzinę i jej problemy nie od dziś. Felicity najwyraźniej też tak się czuła.

- Naturalnie nic jeszcze nie zostało powiedziane do końca - ciągnęła zaaferowana. - Ale Gabe poprosił Richarda o spotkanie w swoim biurze jutro rano. Mają porozmawiać. - Uśmiechnęła się ucieszona takim obrotem spraw. - To już lepiej, niżby firma Richarda miała być po prostu wykupiona, a on sam wyleciał na bruk. Jestem pewna, że to dzięki twoim pysznościom Gabe zmienił zamiary i coś w nim drgnęło. Powiedział mi - uśmiechnęła się konspiracyjnie - że nie jada deserów, ale namówiłam go, żeby chociaż spróbował twojego czekoladowego kremu. I wiesz co? Zjadł cały pucharek

i nawet nie mrugnął. Był taki ukontentowany, że z ochotą zgodził się porozmawiać z Richardem rano!

A zatem to nie tamten człowiek prosił o spotkanie, jak mogłoby wynikać z wcześniejszej wypowiedzi Felicity. Zależało na nim Richardowi Warnerowi. Zresztą, mniejsza o to. W ich sytuacji Felicity miała prawo nieco koloryzować. Jej mąż był dyrektorem i właścicielem firmy komputerowej, a z tego, co powiedziała wcześniej, wynikało, że ten jakiś Gabe był istnym rekinem. Pożerał bez skrpułów mniejsze firmy z własnej i nie tylko własnej branży, nie zastanawiając się nad niczyją krzywdą. Zdaniem Felicity, fakt, że w ogóle zgodził się przyjąć zaproszenie na kolację, i tak graniczył z cudem.

W opinii Jane facet był draniem pierwszej klasy, a nie kimś, z kim chciałoby się robić interesy. Ale Warnerowie chyba nie mieli wyboru.

- Naprawdę się cieszę - powiedziała serdecznie. - Czy jednak nie powinnaś wracać do swoich gości?

Mogłaby wtedy zacząć sprzątać. To też zawsze ją czekało. Taką umowę zawierała z klientem. Po przyjęciu musiało być wszystko sprzątnięte. Paula i Rosemary mogły wyjść po podaniu kawy, ale ona zostawała do samego końca. Zresztą nie przeszkadzało jej to. Mogła pracować osiemnaście godzin na dobę, na początku zresztą często tak bywało, byle tylko być niezależna. Wolna...

- Wielkie nieba! Pewnie, że tak - Felicity roześmiała się, wiedząc, iż popełniła gafę. - Ale byłam taka podekscytowana, że musiałam ci o wszystkim powiedzieć. Przyjdę później. - Ścisnęła z wdzięcznością Jane za rękę i wybiegła, pozostawiając za sobą woń znakomitych perfum.

Jane pokiwała smętnie głową i skupiła uwagę na nakryciach po deserze. W innych okolicznościach ona i Felicity mogłyby się stać przyjaciółkami. Prawda jednak była taka,

że niezależnie od serdecznej aury, jaka się między nimi wytworzyła, miała jeszcze dziś wyjść z tego domu i nie zobaczyć więcej Felicity, chyba że jeszcze kiedyś zechciałaby skorzystać z usług jej firmy.

To prawda, że wybrała sobie dziwne życie. Staranny sposób mówienia i wykształcenie - na szczęście również praktyczne, ukończyła bowiem we Francji kurs gastronomiczny - dawały jej przewagę nad wieloma ludźmi, a jednocześnie fakt, że osobiście najmowała się do pracy, choć była właścicielką firmy, oznaczał, że do tego środowiska, do kręgu osób takich jak na przykład Felicity, też nie należała.

Dziwne życie, tak, ale dawało jej ogromną satysfakcję, mimo że skazywało na samotność.

- Naprawdę absolutny skarb. - Z hallu dał się słyszeć głos Felicity. - Nie wiem, czemu nie otworzy własnej restauracji; bez wątpienia byłoby to coś wspaniałego... Jane, przyprowadziłam ci kogoś, kto chciałby cię poznać - obwieściła z nutką ekscytacji, wchodząc do kuchni. - Mam wrażenie, że zakochał się w twojej kuchni.

Stało się to bez najmniejszego ostrzeżenia. Nie miała żadnych przeczuć. Nic, absolutnie nic, nie wskazywało na to, że w jednej chwili po raz drugi w ciągu trzech lat jej życie całkowicie się odmieni. Wytarła ręce w ściereczkę i z profesjonalnym uśmiechem odwróciła się do gościa. Ledwie jednak spojrzała na mężczyznę, którego wprowadziła Felicity, uśmiech zamarł na jej wargach.

Nie! Byle nie on! To niemożliwe! Przecież udało jej się ułożyć sobie życie. Była niezależna. Wolna. To nie mógł być on. Tego by już nie zniosła. Po takiej pracy, takiej harówce... A zatem jakiś tam Gabe, o którym Felicity paplała całe popołudnie, to Gabriel Vaughan? Tamten Gabriel Vaughan?

Tak, niezaprzeczalnie, to właśnie on stał naprzeciw niej,

dosłownie skamieniałej z wrażenia. Był starszy, naturalnie - ale przecież wszystkim, jej też, przybywało lat. Uśmiechał się, a mimo to nic nie łagodziło tych rysów, takich samych jak zawsze, twardych, jakby wykutych z granitu. Miał obecnie trzydzieści kilka lat. Ciemne, odrobinę za długie włosy muskały kołnierzyk wieczorowej marynarki. Męski, mocno zarysowany podbródek, wyraziste usta, długi nos arystokraty. Elementem łagodzącym wyraz tej ostrej w rysunku twarzy były oczy - tak niebieskie i przejrzyste, że prawie koloru akwamaryny, i tak ciepłe jak morze przy brzegu wysp Bahamów, w którym pływała wiele, wiele lat temu.

- Witam panią - odezwał się tonem doskonale harmonizującym z aurą bezwzględnej pewności siebie, którą wnosił.
- A może: witam, Jane. Tak byłoby przyjemniej. Pozwoli pani? - dodał niby to czarująco, swoim amerykańskim akcentem łagodząc bezceremonialność.

Czarny wieczorowy garnitur i śnieżnobiała koszula, które nosił z absolutnym luzem i jakby pogardą dla elegancji, jedynie w niewielkim stopniu maskowały jego siłę. Szerokie, muskularne bary przeżyły się pod marynarką. Wzrost, około sto dziewięćdziesiąt centymetrów, dawał mu fizyczną przewagę nad większością mężczyzn. Żeby spojrzeć mu w twarz, Jane, prawie trzydzieści centymetrów niższa, musiała zadrzeć głowę. Ta twarz, chociaż w tym momencie uśmiechnięta, wydała jej się poważniejsza niż kilka lat temu.

Och, Paul, pomyślała z wewnętrznym szlochem. Jak w ogóle mogłeś sądzić, że z kimś takim można wygrać?! Nie wygrał, jak zresztą nikt, jeśli wierzyć temu, co ostatnimi czasy donosiła o nim prasa. Teraz, gdy już wiedziała, z kim mają do czynienia Warnerowie, radość Felicity wydała jej się nieco przedwczesna.

- Bardzo proszę - odpowiedziała łagodnym, spokojnym

tonem, który nauczyła się stosować we wszelkich trudnych sytuacjach, w okresie trzech minionych lat, choć prawdę mówiąc, zaskoczyło ją, że i z tej sytuacji wybrnęła tak gładko. Mówiła bowiem do Gabriela Vaughana, człowieka, który zburzył życie jej rodziny, wdzierając się w nie z siłą tornada. Miała też pewność, że nigdy, ani przez moment, nie zastanawiał się nad zniszczeniami, które po sobie zostawił.

- Cieszę się, że smakowała panu kolacja. - Mogła mieć tylko nadzieję, że zarówno on, jak i gospodyni wieczoru, wrócą zaraz do salonu. Z pozoru spokojna, czuła, że dygoczą pod nią nogi i lada moment odmówią posłuszeństwa.

Skinął głową. W świetle górnej lampy zauważyła, że jego włosy, które wydawały się kruczoczarne, są miejscami szpakowate.

- Twój mąż to prawdziwy szczęściarz - powiedział powoli.

Odniosła wrażenie, że pyta. Powstrzymała się od odruchowego zerknięcia na swoją dłoń, choć wiedziała, że na palcu nie ma już najmniejszego śladu, który mógłby wskazywać na to, że kiedyś nosiła na nim ślubną obrączkę.

- Nie jestem mężatką - odrzekła z dystansem.

Patrzył na nią pewnym wzrokiem przez długą chwilę, która wydała jej się wiecznością. Była świadoma wszystkiego, co mógł dostrzec - brązowe włosy, ściągnięte do tyłu i związane na karku czarną aksamitką, blada, pozbawiona makijażu twarz, w której dominowały wielkie piwne oczy, szczupła, zgrabna figura, której nie zdołał zniekształcić przepsty ubiór zakładany do pracy - kremowa bluzka i czarna spódnica. Kiedy przeglądała się w lustrze, nie zauważała - a byłaby tym przerażona - złotawomiodowego lśnienia w masie długich, gęstych włosów, które z takim trudem dały się ujarzmić, ani zadziwiającego kontrastu między tymi

ciemnymi, kręconymi włosami a jasną jak kwiat magnolii cerą, ani tego, że połysk włosów harmonizuje naturalnie z odcieniem oczu. Miała mały nos i pełne wargi, których zmysłowości - mimo że nie używała szminki - nie dało się ukryć, podobnie jak wielkości i zniewalającego piękna oczu. I chociaż chciała wierzyć, że ubrana jest po prostu profesjonalnie, kremowa bluzka pasowała pięknie do jej cery, a spódniczka do kolan wydobywała kształt długich, zgrabnych nóg.

- Powiedziałbym zatem - odparł uwodzicielsko Vaughan, przytrzymując jej spojrzenie - że dla jednego mężczyzny to zapewne strata, lecz pozostali mają prawo się cieszyć.

- No, no, mój drogi - wtrąciła wesoło Felicity - można by pomyśleć, że flirtujesz z Jane. - Uznała to wyraźnie za zabawne.

Vaughan zerknął na nią z sarkazmem.

- Ależ, moja droga, nie ma co do tego wątpliwości - wycedził sucho i z wyzwaniem w oczach popatrzył na Jane.

Flirtował? Z nią? Niemożliwe. Gdyby wiedział... Ale nie wiedział. Nie rozpoznał jej. Gdyby to się stało, nie spoglądałby na nią z takim sympatycznym zainteresowaniem.

Czy aż tak się zmieniła? Zewnętrznie, owszem, wyglądała ogólnie dojrzałej. Podstawowa zmiana dotyczyła jednak włosów. Kiedyś sięgały do pasa - były proste, barwy złotego miodu. Teraz miały kolor laskowego orzecha; obcięła je na długość do ramienia. Oczy, które zawsze wydawały się zwyczajnie brązowe czy piwne, nabrały bogatego odcienia sher-ry, a jasna cera, naturalna przy włosach koloru blond, stała się jeszcze ciekawsza.

A zatem, owszem, zmieniła się i to celowo, ale aż do teraz, gdy Vaughan patrzył na nią i najwyraźniej jej nie rozpoznawał, nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze to zrobiła.

- Proszę pana... - Wreszcie zapanowała nad zaskocze-

niem i odzyskała równowagę na tyle, żeby odpowiedzieć. Nazywała się Jane Smith, była wyłącznie kucharką dla pięknych pań i wpływowych panów, a ten mężczyzna był po prostu jednym z gości na jednym z wielu organizowanych przez nią przyjęć. Nie powinien był nawet wchodzić do kuchni! - Wydaje mi się - powiedziała dobitnie - że niepotrzebnie traci pan czas.

Nie przestał się uśmiechać, ale w niebieskich oczach pojawiło się jeszcze żywsze zaciekawienie.

- Miła Jane - zaakcentował imię, jakby na przekór jej oficjalności - musisz wiedzieć, że nie mam takiego zwyczaju.

Nie pokazała niczego po sobie, ale poczuła wewnętrzny dreszcz. Było to odczucie, którego nie doświadczała od trzech lat.

- No, nie, Gabe! - Felicity ze śmiechem ujęła go pod ramię. - Nie pozwalam, żebyś mi tu denerwował Jane; wracamy do salonu na likier. Zostawmy biedulkę w spokoju... - Przeprosiła ją wzrokiem. - Na pewno chciałyby wrócić do domu przed świtem. Chodźmy! - powtórzyła stanowczo, gdy nie ruszył się z miejsca. - Richard gotów pomyśleć, że uciekliśmy we dwoje w siną dal.

Roześmiała się gardłowo, lecz Vaughan jej nie zawtórował.

- Richard może spać spokojnie. Jesteś piękna - dodał, jakby chciał osłabić wydźwięk pierwszego zdania - ale cudze żony nigdy mnie nie interesowały.

Jane wciągnęła powietrze. Wiedziała, dlaczego to powiedział. Dlaczego „cudze żony” nie pociągały nigdy Gabriela Vaughana. Aż za dobrze znała przyczynę.

- Jestem pewna, że pan Warner rad by to słyszeć - powiedziała z łagodnością, która stała się jej drugą naturą. - Ale Felicity ma rację; zostało mi jeszcze sporo pracy. A państwu wystygnie kawa. - Zerknęła na swoje pomocnice, które właś-

nie wróciły do kuchni. Pojawiły się doprawdy w najważniejszym momencie.

Chciała, żeby Vaughan wyszedł, i to natychmiast, nim załamie się w niej spokój, a nogi odmówią posłuszeństwa. Sądziła, że zdołała już odsunąć od siebie przeszłość, ale w tej chwili stanęły jej przed oczyma okoliczności, w których jej własne zdjęcie ukazywało się obok fotografii tego człowieka w całej krajowej prasie.

Zaprzagnęła wtedy uciec, zniknąć ludziom z oczu. Wszystko, co później zrobiła, miało temu służyć. Tymczasem, chociaż nie był tego świadom - i miała nadzieję, że nigdy się nie zorientuje - Vaughan w końcu ją dopadł. Człowiek, który był zmorą jej życia, koszmarem ścigającym ją w snach i na jawie...

Patrzył na nią i patrzył, jakby nie słyszał Felicity nakłaniającej go do powrotu do salonu. Było to wobec niej niemal niegrzeczne, ale - o czym Jane dobrze wiedziała - to on grał tego wieczoru pierwsze skrzypce i miał tego pełną świadomość. Dysponował olbrzymimi pieniędzmi, od jego woli zależało, jak potoczą się sprawy związane z wykupem podupadającej firmy Warnera i w tej sytuacji mógł robić, co mu się żywnie podobało.

A teraz chciał się przyglądać jej. Koniec, kropka.

W końcu - gdy miała wrażenie, że dłużej już tego nie zniesie - odprężył się, uśmiechnął leniwie z błyskiem w przejrzystych oczach i podał jej rękę.

- Miło mi było cię poznać, Jane.

Widząc panią domu i jednego z gości gawędzących w kuchni z ich szefową, dziewczyny spojrzały na nią zaskoczone i zajęły się zmywaniem. Felicity uśmiechała się zaaferowana i pewna, że wieczór zapowiadał szczęśliwy obrót spraw.

- Dziękuję - odparła chłodno, nie odwzajemniając

uprzejmości. Jeśli to spotkanie było w ogóle dla któregoś z nich dwojga przyjemne, to z całą pewnością nie dla niej. Nie miała jednak wyboru. Musiała uściskać wyciągniętą do niej dłoń. Inne zachowanie byłoby niezrozumiałe, przynajmniej dla postronnych. Tylko ona jedna wiedziała, dlaczego nie życzy sobie kontaktu z Vaughanem, dlaczego nie chce nawet dotknąć jego ręki. A gdyby i on uświadomił sobie, z kim ma do czynienia, nie wyciągałby ręki tak ochoczo.

Jego dłoń była chłodna i sucha, uścisk mocny. Odczuła to, mimo że podała mu swoją prawie płochliwie. Zmrużył oczy.

- Być może jeszcze kiedyś się spotkamy.

- Być może. - Kiwnęła niezobowiązująco głową.

A być może nie! Przez całe trzy lata udawało się jej nie natknąć na tego człowieka i jeśli tylko będzie to od niej zależało, miną wieki, nim stanie się to ponownie. Gabriel Vaughan zerował głównie w swej rodzinnej Ameryce i jedynie czasami zjawiał się w Anglii w poszukiwaniu nowej ofiary - nie powinno więc to być aż takie trudne.

- Będę w Anglii przez kilka miesięcy - powiedział, jakby odczytał przynajmniej częściowo jej myśli i chciał od razu pozbawić ją złudzeń. - Mieszkanie wynająłem na razie na trzy miesiące. Nie znoszę atmosfery hoteli.

Trzy miesiące! Krótko to czy długo? To będzie zależało od niego...

- Mam nadzieję, że będzie to miły pobyt. - Nie była w stanie dłużej na niego patrzeć. Musiała usiąść, drżały pod nią nogi...

Dlaczego po prostu nie wyszedł? Podeszła do kredensu, by wstawić umyte pucharki po deserze, a kiedy się odwróciła, już go nie było. Zachwiała się i usiadła ciężko przy stole.

- Przystojny, co? - westchnęła tęsknie Rosemary, osuszając ręce.

Wyglądało na to, że zupełnie nie zauważyła roztrzęsienia Jane.

Przystojny? Zapewne. Ale to nie dlatego tak się czuła, a ze strachu przed rozpoznaniem. Z szerokiego uśmiechu Pauli wynikało jednak, że Vaughan i jej się podobał.

- Wygląd o niczym jeszcze nie świadczy! - rzuciła ostro, czując, że powoli odzyskuje siły. - Tak zwane dobre maniery i pozory kultury też. Wierście mi, ten facet to istna pirania.

- A mnie się wydawało, że wzbudziłaś jego zainteresowanie. - Paula zrobiła oko.

Jane uśmiechnęła się drwiąco.

- Takich panów nie interesują pomoce kuchenne. No, dziewczyny, sio - dodała żartobliwie i wstała. - Pora wracać do domku, do mężów. Lećcie już, dam sobie radę.

Prawdę powiedziawszy, odetchnęła, gdy wyszły i mogła w spokoju побыć sama. Krzątając się po kuchni i chowając zastawę na miejsce, prawie uwierzyła w to, w co bardzo chciała wierzyć - że wszystko wróci do normalności, że nie doszło do żadnego spotkania z Vaughanem.

Prawie...

Nie było przecież najmniejszego powodu, dla którego ich drogi miałyby się znów skrzyżować. Błyskawica nigdy nie przecina nieba dwukrotnie w tym samym miejscu. Naturalnie, że nie. Podobnie będzie z nią i Gabrielem Vaughanem.

Nigdy już nie wedrze się w jej życie.

Pół godziny później, gdy wszystko było już posprzątane, a ostatni gość wyszedł, Felicity weszła do kuchni. Była taka uradowana, taka inna niż przez całe popołudnie, gdy trawił ją niepokój, że Jane nie miała serca zatruwać jej swoimi wątpliwościami co do efektów wieczoru. Wkrótce zresztą

sama pozbędzie się złudzeń. Po rozmowie, na jaką jej mąż został zaproszony przez Vaughana.

- Stokrotne dzięki, Jane. - Uśmiechnęła się, choć wyglądała na zmęczoną. Spotkanie najwyraźniej kosztowało ją więcej nerwów, niż mogło się początkowo wydawać. - Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez ciebie.

- Dałabyś radę - stwierdziła bez wahania Jane. Była przekonana, że Richard Warner miał w swej młodej żonie prawdziwy skarb.

- Nie byłabym taka pewna - skrzywiła się Felicity. - Ale jutro się okaże, czy warto było aż tak się starać.

No właśnie! Jane naprawdę bardzo chciałyby wierzyć, że tej miłej pary nie spotka ciężki zawód. Bo, niestety, z tego, co wiedziała o Gabrieli Vaughanie, nie zapowiadało się najlepiej.

Felicity ziewnęła.

- Chyba pójde się położyć. Richard sprząta jeszcze szkła, ale ty - powiedziała stanowczo - daj już sobie spokój. Jesteś na pewno zmęczona bardziej ode mnie... a ja padam z nóg. - Podeszła do drzwi. - Jedź do domu, proszę. - Ziewnęła znowu i odwróciła się w progu. - A tak w ogóle, to spisałaś się fantastycznie... Gabe bardzo się zainteresował...

Jane zmusiła się do spokoju.

- Czym? - zapytała lekko, nie dając po sobie poznać ogarniającej ją paniki.

- Wszystkim. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdybyście się jeszcze spotkali.

- A co skłania cię do takich przypuszczeń? - Panowała nad nerwami, chociaż z minuty na minutę stawało się to coraz trudniejsze.

Niemożliwe, żeby wypytywał o nią przy gościach w salonie. Prócz niego i gospodarzy znajdowały się tam dwie

pary i rozwiedziona siostra Warnera. Nikogo nie interesowałoby przysłuchiwanie się rozmowie na temat pomocy kuchennej, choćby nawet ta „pomoc” była szefową własnej firmy!

- No wiesz... O, jesteś... -Felicity przesunęła się, by wpuścić do kuchni męża, który niósł kieliszki. - Właśnie mówiłam Jane, że jestem pewna, iż się jeszcze z Gabe'em zobaczą.

Richard mrugnął do żony. Miał niewiele ponad trzydzieści lat, był wysokim blondynem w typie Roberta Redforda za młodu. Stanowili we dwoje znakomicie dobraną parę.

- Skończ z tym swataniem, kochana. Jane i Gabe z całą pewnością potrafią sami o to zadbać. Jeśli uznają to za potrzebne. ..

- W takich sprawach nigdy nie zaszkodzi pomoc. - Felicity, ziewając, zakryła ręką usta.

- Czas do łóżeczka, Fliss - powiedział stanowczo. - Pożegnaj się tylko z Jane i już do ciebie przychodzę.

Jane bardzo chciałyby już wyjść, co do tego nie miała wątpliwości. Jednakże dwuznaczny komentarz pani domu zmroził ją nie na żarty. Czy miała pani Warner zdążyć już zrobić coś, co miałyby „pomóc” jej i Gabe'owi?

- OK - wymruczała sennie Felicity. - Jeszcze raz bardzo ci za wszystko dziękuję. Byłaś wspaniała!

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzuciła lekko. - Przyznam jednak, że umieram z ciekawości, skąd ci przyszło do głowy, że pan Vaughan i ja jeszcze się spotkamy.

- Poprosił mnie o twoją firmową wizytówkę. Powiedział, że może mu się przydać, kiedy sam będzie wydawał przyjęcie, ale mam wrażenie, że skontaktuje się z tobą znacznie wcześniej... Nie marudź za długo, kochany - uśmiechnęła się promiennie do męża i poszła do siebie na górę.

- Bardzo cię przepraszam za tę całą bzdurkę - odezwał się nieco zażenowany Richard, przegarniając włosy palcami.

- Od kilku tygodni mamy tyle problemów, że aż się boję o Fliss. Jest w ciąży. A wracając do Vaughana... wierz mi, to ostatni człowiek, z którym powinnaś się wiązać. Nie zdążysz powiedzieć „nie”, nim zbałamuci cię i zostawi.

Gabriel Vaughan był dokładnie ostatnim człowiekiem, z którym gotowa byłaby się związać! Nagle opuściło ją odrętwienie, w które wpadła na wiadomość o tym, że poprosił o jej wizytówkę, i pospieszenie włożyła zakiet.

- Nie wiedziałam, że Felicity jest w ciąży - powiedziała powoli.

Pani Warner była taka szczupła i elegancka, że musiały to być dopiero początki. Szczęśliwi małżonkowie cieszyli się zapewne na myśl o przyszłym dziecku, Jane zdawała sobie jednak sprawę z tego, że przydarzyło im się w czasie nie najlepszym. Ważyły się losy firmy Richarda.

- Dopiero co się dowiedzieliśmy. - Uśmiechnął się z widocznym napięciem. - Felicity marzy o tym, żeby dać mi syna. Chociaż, w tej sytuacji, kiedy dorośnie, nie będzie miał co po mnie przejąć - dodał drewnianym głosem i pokiwał głową, jakby sobą pogardzał. - Podobnie jak Fliss jestem ci bardzo wdzięczny, lecz jeśli chodzi o ewentualny wpływ tego spotkania na Gabriela Vaughana, mam inne zdanie niż moja żona. Nie sądzę, żebyśmy go przekonali, że warto ratować moją firmę, skoro może ją po prostu połknąć.

Jane była podobnego zdania. Z tego, co wiedziała o bezwzględnym Amerykaninie, nie zależało mu nigdy na „ratowaniu” firm, a wyłącznie na wykupie. Nie zazdrościła Warnerowi zaplanowanego na jutrzejszy dzień spotkania. Ze zrozumieniem dotknęła jego ręki.

- Trzymam kciuki - powiedziała łagodnie. - A teraz pora

na mnie. Proszę biec do żony i mocno ją uściskać. Wierna żona i wspaniała rodzina to prawdziwy skarb. - Ani przez moment nie wątpiła, że Felicity będzie trwała dzielnie przy swoim mężu niezależnie od rezultatu jego rozmów z Vaughanem.

Warner patrzył na nią szklanym wzrokiem przez kilka chwil, po czym roześmiał się miękko.

- Masz rację, Jane. Masz rację!

Wiedziała dobrze, że czasami trzeba, żeby ktoś z zewnątrz uzmysłowił nam, jacy w gruncie rzeczy jesteście szczęśliwi. A przecież, niezależnie od tego, co miało się zdarzyć jutro, Warnerowi nikt nie mógł odebrać ślicznej żony, córeczek i dziecka, którego się spodziewali. Miał znacznie więcej niż wielu, wielu ludzi.

Jak to jest, myślała już po wyjściu, że wszystko, co w życiu uważało się za dobre, w jednej chwili może zostać zniszczone lub odebrane?! Przykładem - dzisiejszy wieczór, kiedy okazało się, że honorowym gościem Warnerów jest Gabriel Vaughan. Tyle się napracowała, żeby stworzyć tę firmę, żeby zbudować coś swojego... I nie pozwoliłaby zniszczyć w swoim życiu wszystkiego po raz drugi!

To w ogóle nie był pomyślny wieczór. Najpierw ta filizanka, którą mimo sprzeciwu Felicity, trzeba będzie odkupić. Potem pojawienie się Gabriela Vaughana - ostatniego człowieka na ziemi, z którym chciałyby się kiedykolwiek spotkać. W dodatku Felicity, ta biedna, sentymentalna Felicity, dała mu jej wizytówkę. Co złego mogło się dziś jeszcze przydarzyć? Los odpowiedział na to pytanie niemal natychmiast, gdy jej van nie chciał zapalić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pijąc poranną kawę, w pewnym momencie Jane aż się zachłysnęła nad gazetą. Kubek zatrzęsł się jej w ręce i kawa rozlała się, opryskując uśmiechniętą twarz mężczyzny, który patrzył na nią ze zdjęcia.

Vaughan!

Od wczorajszego spotkania z tym człowiekiem w ogóle nie szło jak należało. Kiedy stwierdziła, że samochód nie chce zapalić, było dobrze po pierwszej w nocy. Rzuciła okiem na dom Warnerów, ale nigdzie już nie paliło się światło. Trzeba byłoby chyba być tym zwierzęciem, co ryje, żeby dręczyć po nocy i tak już skłopotanych ludzi. Poza tym - pomyślała - jeśli Richard ma po kolei w głowie, to w tej chwili czuli się ze swoją żoną - a takich przyjemności naprawdę nie chciałyby im przerywać. Było jednak za późno, żeby skorzystać z usług jakiegoś warsztatu. W eleganckiej dzielnicy na przedmieściach nie krążyły taksówki, a znalezienie zwykłej budki telefonicznej, z której dałoby się przywołać nocne taxi, też okazało się niełatwe. Kiedy wreszcie z tym sobie poradziła i wyszła na ulicę, zaczęło padać. Nie był to niestety sympatyczny, odświeżający powietrze deszczyk, a istna ulewa, jakby dosłownie oberwała się chmura.

Zmęczona, przemoczona i skrajnie rozdrażniona wróciła w końcu do domu około trzeciej nad ranem. Spotkanie oko w oko z uśmiechniętym Gabrielem Vaughanem, spoglądającym rozkosznie z gazetowego zdjęcia siedem godzin później, naprawdę nie było jej potrzebne do szczęścia.

Ta pora dnia należała zawsze tylko do niej. Były to godziny relaksu. Najpierw biegała, a w drodze powrotnej odbierała gazetę i kupowała w pobliskiej cukierence swoje ulubione croissantsy. Zarabiała na życie przyrządzaniem posiłków, ale sama nie miała nic przeciwko delektowaniu się przysmakami będącymi dziełem innych.

A croissantsy Francois, posmarowane grubo masłem i miodem, po prostu rozpływały się w ustach.

Ale nie dziś. Ledwie ugryzła rogalik, zupełnie straciła apetyt. A wszystko to z powodu Gabriela Vaughana.

Śmigając jak wiatr po parku, w sportowym ubraniu, z włosami związanymi do tyłu czarną wstążeczką, szczupła i lekka, zapewniała się zawzięcie, że nigdy, ale to nigdy go już nie zobaczy. Z tego, co wiedziała, w okresie ostatnich trzech lat wpadał do Anglii na krótko, a to, że tym razem wynajął mieszkanie na trzy miesiące, nie oznaczało jeszcze, że wizyta rzeczywiście potrwa aż tyle czasu. Załatwi - oczywiście korzystnie dla siebie - sprawy związane z firmą Warnera i wróci do Ameryki.

Miejmy nadzieję, że na długo.

Jednakże zdjęcie zamieszczone w porannej gazecie - na którym prezentował się z oszłamiającą blondynką u boku - zrobiono na przyjęciu wydanym podczas weekendu przez znanego polityka. Fakt, że ostatnimi czasy bywał w kraju nieczęsto, pozostawał zatem bez wpływu na to, że kiedy się pojawiał, był po prostu rozchwytywany.

A niech to diabli! Cały ranek zmarnowany! Podniosła się gwałtownie. Już raz przyczynił się do zrujnowania jej życia - nie mogła pozwolić, żeby to się powtórzyło w sytuacji, gdy tyle ją kosztowało stworzenie wizerunku siebie jako Jane Smith.

Jane Smith. Tak. Obecnie była nie kim innym, a właśnie Jane Smith.

Wciągnęła powietrze, pohamowując uczucie paniki i złości i przywracając spokój, który w ostatnich latach stał się tak nieodzowną częścią jej natury. Tego wieczoru miała w planie organizację kolejnego przyjęcia, a przedtem należało przede wszystkim skontaktować się z warszatem, do którego dzwoniła, i dowiedzieć się, czy zdołali naprawić samochód. Jeśli nie, musiała pomyśleć o wynajęciu jakiegoś pojazdu na najbliższe kilka dni. Miała przecież firmę i zamierzała ją prowadzić nadal. Wbrew Vaughanowi. Albo właśnie dlatego, że istniał!

- Do licha, jak ja nie cierpię tych urzędów! Jeśli jesteś w domu, to podnieś tę przeklętą słuchawkę!

Trzęsącymi się palcami szybko wyłączyła sekretarkę, jakby już sam automat mógł zrobić jej coś złego. Oczywiście nic złego stać się nie mogło, ale nagrany męski, niecierpliw głos - choć mężczyzna nie przedstawił się i nie uzyskał odpowiedzi, cisnął słuchawkę na widełki - należał niezaprzeczalnie do Gabriela Vaughana.

Postanowiła wziąć prysznic, a przedtem zatelefonowała do warsztatu. Powiedziano jej, że samochód będzie gotów do odebrania za pół godziny, jak tylko wymienią akumulator. Wykapła się szybko, po czym - jak zwykle, gdy musiała wyjść - włączyła automatyczną sekretarkę.

Nie było jej w domu zaledwie przez godzinę, ale gdy po powrocie zerknęła na telefon, na aparacie paliła się cyferka 5. A zatem telefonowano do niej pięć razy. Pierwsze dwie pozostawione wiadomości były mało kłopotliwe. Dzwoniły osoby chcące złożyć zamówienia. Sprawy te mogła załatwić przed wyjazdem po sprawunki potrzebne na dzisiejsze przyjęcie. Jednakże trzeci interesant... Nawet nie musiał się przedstawiać - jego amerykański akcent rozpoznałaby wszędzie. Od wyjścia

z domu Warnerów nie minęło nawet dwanaście godzin. Ten przeklęty facet naprawdę nie tracił czasu! Czego chciał? Zresztą nieważne. Nie obchodziło jej to. Ani ze względów osobistych, ani zawodowych. Tak czy owak, im mniej kontaktów, tym lepiej! Postanowiła całkowicie zignorować jego telefon, udawać, że go w ogóle nie było. A zresztą ani się nie przedstawił, ani nie podał swojego numeru. Warknął jedynie niecierpliwie kilka słów. Puściła dalej taśmę.

- Jane, och, Jane... - W czwartej nagranej wiadomości nastąpiła krótka przerwa, po czym znów rozległ się kobiecy głos: - Mówi Felicity Warner. Zadzwoń, jak tylko przyjdiesz. Proszę!

Już sam początek był płaczkliwy, ale w ostatnim słowie zabrzmiało wyraźnie błagalne chlipnięcie. Nie trzeba było szczególnej bystrości, żeby się domyślić, dlaczego Felicity tak się zmienił nastrój. Richard bez wątpienia wrócił już ze spotkania z Vaughanem.

Być może, mimo wszystko, powinna była wieczorem spróbować ostrzec panią Warner. Owszem, może, ale gdyby to zrobiła, Felicity chciałaby się zapewne dowiedzieć, skąd wie tak dużo o Gabrieli Vaughanie. A na to, żeby otrząsnąć się z tego, jak i dlaczego go kiedyś poznała, potrzebowała niemal trzech lat. Głos Felicity brzmiał jednak tak nieszczęśliwie. .. Musiała być bardzo zdenerwowana, a to w jej stanie naprawdę mogło jej zaszkodzić...

- Czy ty nigdy nie wyłączasz tego cholernego automatu?! - Rozpoczęło się piąte nagranie i natychmiast, tak jak przedtem, rozpoznała głos Vaughana, tym razem zabarwiony wesołą kpina. - No cóż, nie będę rozmawiał z maszyną. Spróbuję złapać cię później. Do usłyszenia, Jane Smith.

Znowu się nie przedstawił. Nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że to on. Zapamiętała aż za dobrze ów

kpiący ton, którym zwracał się do niej pełnym imieniem i nazwiskiem. Dwa telefony w ciągu godziny. Czego ten człowiek chciał?! Przecież, jeśli właściwie pojmowała powody płaczu Felicity, przez tę ostatnią godzinę rozmawiał też z Richardem Warnerem. Ten facet był istną maszyną. Automatem! Kupował i sprzedawał, niszczył ludziom życie, nie licząc się z konsekwencjami. A tym razem konsekwencją jego działań mogło być zagrożenie ciąży Felicity!

Ponownie wyłączyła automatyczną sekretarkę. Nie chciała się w to angażować, ani tak, ani inaczej. Gdyby zatelefonowała do Warnerów, chcąc nie chcąc zaangażowałyby się. Jeśli zresztą już to się nie stało! W granie rzeczy nie znała ich dobrze. Byli gośćmi na kilku przyjęciach, które organizowała, i dlatego Felicity zatrudniła ją u siebie. Jane z zasady nie nawiązywała bliższej znajomości ze swymi klientami. Przychodziła do pracy. Koniec, kropka. Nigdy, ani przez moment, nie dała się ponieść błędnemu mniemaniu, że mogłaby być dla nich kimś więcej. Wczoraj jednak wszystko potoczyło się jakoś inaczej. Felicity bardzo się denerwowała i potrzebowała kogoś, przed kim mogłaby się wywnętrzyć. Za powiernicę wybrała sobie ją, prawdopodobnie dlatego, że czuła iż ktoś, kto pracuje u ludzi, musi z natury rzeczy być dyskretny.

Jane nigdy nie była plotkarką, lecz istniał też inny powód, dla którego tajemnice domu Warnerów nie mogły się za jej pośrednictwem roznieść - najzwyczajniej w świecie nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Żyła intensywnie, poznawała dzięki pracy masę ludzi, ale z przyjaciół, takich prawdziwych, od serca, zmuszona była w ostatnich latach zrezygnować. Niepisaną zasadą umów z klientami była dyskrecja z jej strony, a swojej własnej prywatności Jane strzegła bodaj jeszcze skwapliwiej. Trzy lata temu w jej życiu nastąpił dramatyczny przełom, lecz dzięki deter-

minacji i ciężkiej pracy stać ją było obecnie na niezależność finansową.

Mogła sobie pogratulować sukcesu. Wynajmowała nie klitkę, lecz duże mieszkanie z drewnianym parkietem i stylowymi meblami. Telewizora w nim nie było. Nie sprawiła go sobie nie tylko dlatego, że i tak nie miałyby kiedy oglądać telewizji, ale że tego nie lubiła. W wolnym czasie wolała posłuchać muzyki albo poczytać. Miała bogatą kolekcję płyt, a książki zajmowały całą ścianę. Wszystkie były jej prywatną własnością i kiedy - niczym o raj - myślała o wolnym wieczorze, to nie marzyło jej się, jak niegdyś, towarzyskie spotkanie, lecz przeciwnie - żeby posiedzieć w domu, włączyć któreś z ulubionych nagrań muzyki klasycznej i otworzyć jedną z przeczytanych już książek.

Kiedy wróciła do domu o pierwszej w nocy, była bardzo zmęczona. Zorganizowane przez nią przyjęcie udało się, męcząca była natomiast, nie opuszczająca jej ani na moment świadomość, że w ciągu jednej doby w jej osobistym życiu pojawił się dysonans.

Automatyczna sekretarka mrugała raz po raz. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Ile z tych telefonów było od Gabriela Vaughana? Zwariowała, czy co? Ten lew salonowy, z którym rozmawiała poprzedniego wieczoru, nie wyglądał na faceta, co to musi zdrowo nauganiać się za kobietą, żeby coś z tego mieć. Tym bardziej nie uganiałby się za jakąś kucharką!

Ale przecież sama słyszała. Nagrał się, powiedział, że próbuje ją „złapać” później.

Westchnęła ciężko. Była zmęczona. Było późno. Chciała znaleźć się w łóżku. Czy jednak potrafiłaby zasnąć ze świadomością, że ma na taśmie sześć nie przesłuchanych wiado-

mości? Chyba nie, pomyślała z nagłą irytacją. Niespecjalnie by jej to odpowiadało. Ani trochę!

Wtrącanie się Vaughana w jej życie było czymś najgłębiej nie chcianym, a zarazem drażniło ją, że, aż tak mocno to przeżywa. Miała już nigdy nie żyć w strachu. To był - do diabła! - jej dom, jej azyl. Vaughana nikt tu nie prosił. Po co się narzucał?

Wyciągnęła rękę i zdecydowanym ruchem włączyła sekretarkę.

- Dzień dobry, Jane. Mówi Richard Warner. Felicity prosiła, żebym do ciebie zadzwonił. Jest w szpitalu. Grozi jej poronienie. Ja... my... Bardzo ci dziękujemy za wczorajszy wieczór...

Wypowiedź kończyła się raptownie. Warner jakby nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać. Bo i co tu mówić, pomyślała smętnie. Co ten drań powiedział Richardowi, co uczynił, że tak się porobiło...

Nie! Nie mogła się w to angażować. Nie zaryzykowałaby... nie podjęłaby takiego ryzyka... Po prostu nie starczyło jej odwagi.

Jednak Felicity telefonowała do niej, czuła, że jej potrzebuje. Z tego, co mówił Richard Warner, wynikało, że nie były to fanaberie ani kaprys. Czy i teraz miała zignorować wołanie o pomoc? A może w ogóle było już za późno? Gdyby odzwońnię do Warnera, nie zmieniłoby to już niczego. Co mogła zrobić? Jeśli nawet zdecydowałaby się porozmawiać z Gabrielem Vaughanem, i tak by jej nie usłuchał. Ale Felicity... Co z nią?

Było prawie wpół do drugiej w nocy - za późno, żeby dzwonić do jej męża czy też do szpitala. Bardzo wątpliwe, czy dyżurujące pielęgniarki zechciałyby udzielić jakiegokolwiek informacji. Powinna się położyć, dobrze wyspać i spró-

bować się dodzwonić do Warnera rano. Może do tej pory stan Felicity nieco się poprawi.

Albo i nie.

Nieuważnie wysłuchiwała pozostałych pięciu wiadomości. Wszystkie dotyczyły pracy. W żadnym głosie nie dosłuchiwała się amerykańskiego akcentu, który z miejsca by rozpoznała. Nagle ogarnął ją strach. Po dwóch porannych telefonach absolutna cisza wcale jej nie uspokoiła. Przeciwnie -jeszcze bardziej rozdrażniła.

- Jej stan lekarze określają jako stabilny - powiedział Richard, gdy z samego rana zadzwoniła do niego, pytając o Felicity. - Czort wie, co to znaczy.

- A jak to się w ogóle stało?

Zatelefonowała do niego wbrew rozsądkowi, z nakazu serca, przepełniona emocjami, którym nigdy już nie powinna pozwolić nad sobą zapanować. Ale po prostu musiała, nie mogła inaczej.

- A jak myślisz? Vaughan się pojawił, ot i całe wytłumaczenie - odparł gorzko, potwierdzając jej przecucia.

Gabriel Vaughan kroczył przez życie, zmiatając na bok wszystko i wszystkich, którzy stanęli na jego drodze. Tym razem zawadzał mu Warner. Jutro, za tydzień, za miesiąc mógł to być jeszcze ktoś inny. Nic go nie ruszało!

- Prawdę powiedziawszy, nie chce mi się teraz o tym mówić - dodał prędko. - W tej chwili z moją firmą nie wiadomo co będzie, żonę mam w szpitalu, a jak myślę o tym bubku, to mi ciśnienie skacze. Powiem Felicity, że dzwoniłaś... Jeszcze raz za wszystko dziękuję.

I tyle mojej pomocy, westchnęła, odkładając słuchawkę. Pojawił się Gabriel Vaughan. Kto by inny. Wystarczy? Wystarczy. To ktoś absolutnie bez...

Na dźwięk telefonu omal nie spadła z krzesła. Było piętnaście po ósmej. Dopiero. Specjalnie zadzwoniła do Warnera tak wcześnie, żeby zdążyć z nim porozmawiać, nim wyjdzie do pracy czy do szpitala. Nawet nie zdążyła się ubrać. Kto to może być? Do licha...

Po chwili wiedziała już kto. To, czego dowiedziała się od Richarda, ustawiło ją psychicznie. Nie miała wątpliwości, jak trzeba rozmawiać.

- Słucham! - warknęła do słuchawki.

- Mam nadzieję, że nie zerwałem cię z łóżka. Dobrze mówię, Jane Smith? - wycedził kpiąco.

Poczuła, że jej dłoń zaciska się kurczowo na słuchawce. Wiedziała od początku, że to on, a mimo wszystko na dźwięk jego głosu cała ścierpła. Odetchnęła głęboko.

- Nie, panie Vaughan - odpowiedziała spokojnie. - Nie zerwał mnie pan z łóżka.

Z tego, co słyszała, on sam sypiał mało. Pochwalił się kiedyś jakiemuś dziennikarzowi, że potrzebuje zaledwie trzech-czterech godzin snu. Pewnie więc od dawna był już na nogach.

- Niczego zatem... ci nie przerwałem? - upewnił się drwiąco.

- Wyłącznie picie kawy.

- Jakiej?

- Nie rozumiem... - Ściągnęła brwi. - Chodzi panu o kawę?

- O kawę. - Jego głos zabarwił się śmiechem.

- Piję mocną, bez mleka i cukru. - Powiedziała to niechętnie, a po chwili pożałowała, że w ogóle nie ugryzła się w język. Powód, dla którego interesowało go, jaką kawę pija rano, mógł być tylko jeden.

- Postaram się zapamiętać.

- Chyba nie po to pan dzwoni - odburknęła, pewna, że ten człowiek ma świetną pamięć.

Jej dawnej jednak nie zapamiętał. Tak przynajmniej mogło się wydawać. Ale jak długo to potrwa? Minęły trzy lata. Od tamtych wydarzeń zmieniła się nie tylko zewnętrznie, stała się w ogóle kimś innym, jednakże i on miał wszelkie powody, żeby pamiętać z tego okresu wszystko. Miała więc podstawy, żeby sądzić, że chwilowa niepamięć, jeśli chodzi o jej osobę, nie będzie trwać wiecznie, w związku z czym poranne telefoniki szybko się skończą.

- Mylisz się, Jane Smith - wymruczał gardłowo. - Bo widzisz, tak się składa, że ja chciałbym wiedzieć o tobie wszystko, łącznie z tym, jaką kawę lubisz.

Poczuła, że brak jej tchu, a dłoń znów aż do bólu zaciska się na słuchawce.

- Jestem kimś okropnie nudnym, zapewniam pana - powiedziała niecierpliwie.

- Mam na imię Gabe - odparował gładko. - A w to, co mówisz, po prostu nie wierzę.

Wierzył czy nie, nic jej to nie obchodziło. Pracowała, kładła się spać, biegała po parku, robiła zakupy, czytała, pracowała, kładła się spać. Jej życie było poukładane. Dokładnie, skrupulatnie i w określonym celu. Rutyna, bezpieczeństwo, żadnych powikłań. Ten człowiek groził komplikacjami, o jakich wolała nawet nie myśleć.

- Czy wiesz, że Felicity Warner jest w szpitalu? Zagraża jej poronienie! - zaatakowała oskarżającym tonem.

Z drugiej strony linii zapadła cisza. Trwała króciutko, sekundę czy może dwie, ale Jane uchwyciła to zawieszenie głosu i przeżyła moment zaskoczenia.

Trzy lata temu Vaughana nie poruszało nic. W gruncie rzeczy nie sądziła, żeby coś się w tym względzie zmieniło.

- Nie wiedziałem, że pani Warner jest w ciąży - odezwał się szorstko.

- A zrobiłoby ci to różnicę, gdybyś wiedział?

Odpowiedź na to pytanie znała. Tego człowieka nic nie odwiodłoby od wytyczonego celu.

Była niestety absolutnie pewna, że przyjmując zaproszenie Warnerów na kolację, po prostu się nimi bawił.

- W czym mianowicie miałoby mi to robić różnicę? - zapytał aksamitnym tonem.

- Proszę pana! - Celowo wróciła do formy oficjalnej. - Przestańmy się czarować. Ma pan z Richardem Warnerem interesy i właśnie te sprawy podkopały zdrowie jego żony. I ich dopiero co poczętego dziecka - dodała wzburzona. - Nie sądzi pan...

- Nie jestem pewien, Jane, czy faktycznie chciałabyś usłyszeć, co myślę - odciął się zimno.

- Ma pan rację. Nie chcę. Ale uważam, że pora już, żeby ktoś panu wreszcie powiedział, że jest pan bezmyślny. Że nie zastanawia się pan nad tym, co się dzieje z rodzinami, w których życie wtrąca się pan z całą bezwzględnością. Pańskie metody postępowania z ludźmi pozostawiają wiele do życzenia i... - Urwała gwałtownie, zmrożona ciszą, która zapadła w słuchawce, i w tym samym momencie uzmysłowiła sobie, że powiedziała za dużo.

- A cóż ty takiego wiesz o moich „metodach postępowania z ludźmi”? - zagadnął spokojnie, zbyt spokojnie, żeby mogła czuć się bezpiecznie.

Za dużo powiedziała. Stanowczo za dużo.

- Jest pan osobą znaną...

- Nie w Anglii. Przynajmniej ostatnio - dodał ze złością.

- Dziwne. We wczorajszej porannej gazecie widziałam pańskie zdjęcie...

Czuła, że musi wybrnąć z pułapki, w jaką się zapędziła, wyjść z niej obronną ręką. Pozwoliła sobie na zbytnią otwartość. Gdyby przez to obudziła w nim jeszcze większe zainteresowanie swoją osobą, stałoby się coś najgorszego. Najlepiej, żeby w ogóle zapomniał o tym, że poznał jakąś Jane Smith, ale w tej sytuacji mogła już jedynie zawalczyć o to, żeby przestał się nią interesować.

Należało spuścić z tonu i nie bawić się w żadne kontrowersje.

- Ale rozumiem - dodała lekko. - Teraz wszyscy urządają przyjęcia. Był pan po prostu gościem.

- Jestem osobą towarzyską, Jane - oświadczył spokojnie.
- I właśnie dlatego dzwonię do ciebie.

A zatem zamierzał poprosić ją o zorganizowanie mu przyjęcia. Nie ma mowy. Nie umiałyby pracować dla niego... ani z nim!

- O tej porze roku mam masę zamówień - powiedziała.
- Zbliżają się święta. Niczego już nie jestem w stanie wcisnąć do swojego planu. Od kilku tygodni nie mam jednego wolnego wieczoru; niektóre rezerwacje przyjmowałam parę miesięcy naprzód. Mogę jednak polecić podobną firmę, z której usług będzie pan na pewno zadowolony...

Przerwał jej chrapliwym śmiechem.

- Źle mnie zrozumiałaś! Nie miałem zamiaru wynajmować cię w charakterze kucharki... choć te usługi masz opłacone naprawdę znakomicie. Chciałem po prostu zaprosić cię na kolację.

Jane kompletnie zamurowało. Nie ze złości, jak jego przed chwilą... Gdzie się zresztą podział ten gniew?... Raczej ze zdumienia. Gabriel Vaughan chciał się z nią umówić! Nie-możliwe! Ten człowiek po prostu nie uświadamiał sobie, że jest w tym coś doprawdy niepojętego.

- Nie - powiedziała stanowczo.
- Nie, i kropka? Naprawdę nie? A może to jeszcze przemyślisz?

Wątpliwe, czy wiele kobiet zareagowałyby tak jak ona. Był przystojny, wolny, zamożny, dowcipny - czego chcieć więcej? A jednak czuła tylko jedno: nie życzy sobie kontaktów z Gabrielem Vaughanem.

- Nie!
- W takim razie miałem rację; ty kogoś masz - wycofał się twardym, chłodnym tonem.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Coś mi się wydaje, że jakoś zanadto interesują cię sprawy Richarda Warnera. I że bynajmniej nie chodzi o dobro jego rodziny.

Jane aż się zatrzęsała z irytacji.

- Wie pan co, panie Vaughan! - krzyknęła. - No nie, to już nie do zniesienia! Jest pan obrzydliwy! Cudzy mężowie nigdy mnie nie interesowali i nie ineteresują!

Rzuciła słuchawkę na widełki i momentalnie włączyła automatyczną sekretarkę.

Nie sądziła, żeby Vaughan należał do mężczyzn skłonnych ponownie dzwonić do kobiety, gdy ta ze złością przerywa rozmowę, ale gdyby jednak tak było, nie miała zamiaru skazywać się na bezpośrednią rozmowę.

Ten drań zasugerował przed sekundą, że ją i Richarda Warnera łączy romans. Jak śmiał coś takiego powiedzieć?

ROZDZIAŁ CZWARTY

- No i spotykamy się znowu, moja miła Jane Smith...

Znieruchomiała z bezą w ręku. Dopiero co upieczone bezy przносиła właśnie na zimną tackę. Zamknęła na moment oczy, łudząc się, że się przesłyszała, ale zapach wody kolońskiej, który wypełnił powietrze, nie był złudzeniem. Wiedziała, że tuż za nią stoi Vaughan. Czy był to jedynie przypadek, że w ciągu tygodnia spotykała go po raz drugi na organizowanym przez siebie przyjęciu?

Otworzyła oczy i prostując ramiona, raptownym ruchem odwróciła się do niego twarzą, czując, że zamiera w niej serce. Spokojny nastrój, w którym przepracowała minione cztery godziny, zburzyło w jednej sekundzie wrażenie wspaniałości jego męskiej urody. Był fantastycznie przystojny i pełen wigoru, a zarazem całą swoją postawą dawał wyraz temu, że o tym wie i na dobrą sprawę nic go to nie obchodzi. Komuś, komu tak zawadiacko błyszcząły oczy, chyba nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić.

Z pewnym zaskoczeniem uświadomiła też sobie, że odrzucając przed dwoma dniami jego zaproszenie, umocniła w nim jeszcze naturalną wolę walki. Chłodno skinęła głową.

- Wspominałeś, że jesteś osobą towarzyską - zauważyła lodowato.

- A ty - wzruszył ramionami - mówiłaś, że w najbliż-

szym czasie będziesz bardzo zajęta. No więc przysłała góra do Mahometa.

Jane zwięzły się oczy. Czy to możliwe, żeby ten człowiek... Nie, nie uwierzyłyby nigdy w to, że stać go było na wproszenie się na przyjęcie, które organizowała, tylko dlatego że ... Nie uwierzyłyby? Naprawdę? A czy gospodyni tego wieczoru nie dzwoniła do niej rano z zawiadomieniem, że na kolacji będzie miała dwóch gości więcej? Czy Gabriel Vaughan był właśnie jednym z nich?

- Rozumiem - wymruczała niechętnie. - Mam nadzieję, że spędzasz miło czas.

Gabe nie dał się jednak zbyć. Oparł się swobodnie o kuchenny blat.

- Teraz tak - odpowiedział, spoglądając na nią z zachwytem. - Masz niezły temperamencik, Jane. - Z drwiną, ale i sympatią, świadomie nawiązywał do przerwanej przez nią rozmowy telefonicznej sprzed dwóch dni.

Jane nawet nie mrugnęła.

- Po prostu rozżłościło mnie twoje pomówienie.

Uśmiechnął się szeroko, aż błysnęły mu w twarzy białe zęby.

- Richard też nie był specjalnie ucieszony.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i błyskiem w pociemniałych nagle oczach barwy mocnej whisky.

- Powtórzyłeś mi tę... tę niedorzeczną bzdurę?

Kiwnął głową, ale wyraz jego oczu świadczył o tym, że żartuje.

- Powiedz mi, uprawiasz jakąś gimnastykę?

Pokręciła głową, absolutnie zszokowana obraźliwym dla niej tonem tej rozmowy; nawet nie usiłował zachowywać się uprzejmie.

- Biegam, proszę szanownego pana - warknęła ze zło-

ścią. -I naprawdę trudno mi uwierzyć, że jesteś aż tak podły, żeby powtarzać takie brednie, zwłaszcza w sytuacji tak trudnej dla Richarda.

- Felicity, jak może wiesz, wyszła już ze szpitala. - Wyprostował się. Czuła, że stracił nieco ze swego niedawnego luzu. Wyglądał, jakby się bronił, przygasty mu oczy.

Tak się złożyło, że wiedziała - była jednak zaskoczona, że i on o tym wiedział. Nie odwiedziła Felicity w szpitalu, ale dzwoniła tam, żeby przekazać jej życzenia zdrowia, a także codziennie telefonowała do Richarda.

Dziś rano usłyszała od niego dobrą nowinę - lekarz uznał, że Felicity może wracać do domu, a niebezpieczeństwo poronienia zostało zażegnane. Całe szczęście! Jeśli jednak ten człowiek nie zrezygnuje z polowania na firmę Richarda, a w dodatku będzie rzucał tak ohydne pomówienia, sytuacja może się jeszcze odwrócić.

- Na jak, długo? - powiedziała z sarkazmem. - Kiedy planujesz swój następny skok na firmę Warnera?

- Nie jestem kasjarzem, Jane - wycedził drwiąco. - Firmy trzeba zdobywać.

- Dobijając właścicieli?! Wyszukujesz słabych i wysysasz z nich krew.

Z pozoru mogło się wydawać, że jej oskarżenie wcale go nie dotknęło. Zauważyła jednak, że zwęziły mu się oczy, a w zaciśniętej szczęce zadrgał mięsień. Może więc nie był tak kompletnie wyzbyty współczucia, jak do tej pory sądziła.

Nie, nie, mrzonki na bok. Trzy lata temu zachował się absolutnie bezwzględnie. To przez niego sytuacja i tak nieźnośnie trudna zmieniła się w istne piekło. Właśnie dlatego reagowała teraz tak żywo na problemy Warnerów. Ale Gabe zrozumiał jej zaangażowanie po swojemu - wywnioskował,

tuman jeden, że skoro tak ją to obchodzi, to musi mieć romans z Richardem.

- Na dobrą sprawę w każdej firmie dałoby się znaleźć słaby punkt. Ale przejmując tylko te, które mnie interesują...

- Nagle przerwał. - Nie chcę cię martwić, Jane, ale zdaje się, że dymi z ...

Bezy! Druga blacha!

Spaliły się doszczętnie. Kiedy szybko otworzyła piecyk, buchnął z niego czarny dym.

- Nie szalej! - Odciągnął ją bezceremonialnie, gdy nachyliła się, by wyciągnąć blachę. - Otwórz drzwi, wyrzucę to do ogrodu. - Ściągnął z jej dłoni rękawicę. - Drzwi, słyszysz?! - powtórzył, widząc, że nawet się nie poruszyła.

- Szlag by cię trafił - wymruczała pod nosem, idąc otworzyć drzwi.

Nie pamiętała, żeby zdarzyło jej się coś spalić, zwłaszcza podczas firmowego przyjęcia. Ale ten człowiek tak ją sobą oszałamiał, że traciła głowę.

I po bezach! A niech je! A niech go lichu!

- Z drogi! - Wyminął ją, żeby wyrzucić zwęglone bezy i blachę na zewnątrz.

Patrzyła bez słowa, jak spalone resztki lądują na śniegu. Tak, na śniegu. Bo oto w jakimś momencie tego okropnego wieczoru - już drugiego takiego w tym tygodniu - zaczął prószyć śnieg i do tej pory zdążył pokryć wszystko warstwą puchu.

Rozpalona płyta syczała w zetknięciu z lodem.

- Gdzie biegasz?

Odwrociła głowę i zaskoczona bliskością Gabe'a zamrugała. Stali w otwartych drzwiach, tuż obok siebie. Para z ich oddechów łączyła się w jeden obłok.

- W parku, niedaleko domu. Dlaczego pytasz?

Odpowiedział jej niewzruszonym spojrzeniem.

- Ot tak, z ciekawości.

Kiwnęła głową, z pozoru opanowana, lecz w głębi duszy. .. Gdyby jednak odsunęła się raptownie, ujawniłaby swoje poruszenie. O, nie! Dostyc już miał nad nią przewagi, dostyc jej odebrał - nawet jeśli nie był tego świadom. A tę ciekawość niechby lepiej zostawił dla siebie. Nieważne zresztą.

Nie wiedział, gdzie mieszkała, więc nie domyśli się, o którym parku mówiła. Parków na szczęście jest dużo!

- Wygląda na to - popatrzyła na ciężkie od śniegu chmury - że rano w ogóle nigdzie nie da się biegać.

Poranne bieganie po alejkach parku rozjaśniało głowę i nadawało ton całemu dniu. Gdyby - przypadkiem czy nie przypadkiem - natknęła się tam na Vaughana, ta terapia straciłaby sens.

- Gabriel... Ach, to tutaj się ukrywasz - dobiegł do nich nagle niski kobiecy głos. - Do licha! Co tu tak śmierdzi?

Pani domu, Celia Barnaby, wysoka, elegancka blondynka, skrzywiła z obrzydzeniem nos. Śwad spalonych bez wciąż czuć było w całej kuchni.

Gabe mrugnął konspiracyjnie do Jane.

- To był chyba deser - powiedział ze śmiechem, podchodząc do Celi. Wziął ją lekko za rękę i spróbował wyprowadzić z kuchni. - Powinniśmy chyba zostawić panią Smith samą, żeby mogła w spokoju uratować sytuację.

- Ale...

- Miałaś mi coś opowiedzieć. Zdaje się, że na Nowy Rok wybierasz się na narty. Mówiłaś chyba, że do Aspen... - Kierując ją w stronę wyjścia, zerknął nad jej głową na Jane z porozumiewawczym uśmiechem.

- Tereferę - mruknęła pod nosem, zabierając się do „ratowania sytuacji”.

Zostało na to niedużo czasu. Jej dwie pomocnice wróciły właśnie z pustymi salaterkami po sałatce; goście jedli główne danie.

Kiedy dokończyła układać bezy i owoce na talerzykach i polała je gęstym malinowym sokiem, nikt by się nie domyślił, że początkowo w każdej porcji miały się znajdować dwie bezy. Nikt z wyjątkiem Vaughana, oczywiście. Prawdę powiedziałwszy, aż do końca wieczoru była nieco podminowana, podświadomie oczekując, że zaraz znów niespodzianie pojawi się w kuchni. Nie przyszło mu widać nigdy do głowy, że gość nie powinien kręcić się po cudzym domu, a tym bardziej ucinać sobie w kuchni pogawędek z osobą najętą do pracy. Wrodzona arogancja, pomyślała drwiąco. Jaśnie panu Gabrielowi Vaughanowi wolno chodzić, gdzie i kiedy mu się podoba. Wolno mu też mówić, co ślina na język przyniesie, nawet jeśli jest to dla innych obraźliwe.

Wolała sobie nawet nie wyobrażać, co pomyślał Richard Warner na temat pomówień dotyczących ich obojga. Były tak niedorzeczne, że w innych okolicznościach mogłyby budzić śmiech. Jednakże w obecnej sytuacji stwierdzenie Gabe'a, że Richard był nimi „niezbyt ucieszony”, było zdecydowanie nieporozumieniem.

Gdy już ostatecznie uporała się ze sprzątaniami, zrobiło się bardzo późno. Była, szczerze mówiąc, wykończona - nie pracą fizyczną jednak, a napięciem. Na nieszczęście nie udało jej się wyjść, zanim - po pożegnaniu osobliwego gościa - w kuchni zjawiła się Celia Barnaby. Na nieszczęście, ponieważ nie była to osoba dająca się lubić. Była piękną rozwódką. Wyszła za mąż najwyraźniej wyłącznie dla milionów, które spodziewała się wyrwać swojemu bezradnemu partnerowi przy rozwodowym podziale majątku. Wydawała się Jane pretensjonalna i karykaturalna. Mimo to uśmiechała się do niej

grzecznie - ludzi, u których się zarabia, nie trzeba zaraz lubić. Gdyby, zakładając dwa lata temu firmę, przyjęła przeciwnie założenie, mogłaby pożegnać się z tą pracą w ciągu miesiąca.

Celia Barnaby uniosła wyskubane brwi.

- Znacie się Gabrielem od dawna? - zagała lekko.

Jane spojrzała na nią zaskoczona. Ta kobieta doprawdy nie bawiła się we wstępy.

- Czy od dawna? - powtórzyła oszołomiona. Prawdę mówiąc, wcale się nie znali.

- No tak - wycedziła Celia. - Mówił, że jesteście starymi przyjaciółmi.

- Słucham? - Z trudem przełknęła ślinę. - Tak ci powiedział?

- Nie bądź taką cnotką, Jane - uśmiechnęła się z przekąsem. - Od razu pomyślałam, że nieżyła z ciebie laska. Nie pojmuję tylko, czemu przefarbowałaś się na szatynkę. Nikt ci nie mówił, że blondynki mają większe powodzenie?

Jane była absolutnie zdumiona. Wszystkim, co ta kobieta mówiła. Również tym, że w ogóle się nad nią zastanawiała. A to, co powiedziała o blondynkach, oczywiście w kontekście jej osoby, odebrało jej mowę.

Dwa i pół roku temu uznała, że zmiana koloru włosów i fryzury ma istotne znaczenie, jeśli chce się stworzyć siebie od nowa. Chciała zniknąć i pozostać nierozpoznawalna nie tylko dla Gabriela Vaughana. Byłoby niedobrze, gdyby również ludzie, u których najmowała się do pracy, mieli świadomość, że kiedyś żyła na ich poziomie. Zmiana wyglądu miała więc służyć dwóm celom. Dbała o to, by farbować włosy dokładnie co miesiąc. Do tej pory nikt jej nigdy nie powiedział, że wie, iż jest naturalną blondynką! Jeśli dołożyć do tego oświadczenie Vaughana o łączącej ich jakoby starej

przyjaźni - miała autentycznie wszystkiego dosyć. Tygodniowa znajomość nie upoważnia nikogo do nazywania się „starym przyjacielem” - a poza tym, jacy z nich byli przyjaciele! Chyba że Vaughan, mimo wszystko, pamiętał ją sprzed trzech lat i po prostu z nią igrał...

- Niezbyt długo - drewnianym głosem odpowiedziała Celi na pierwsze pytanie.

- Szkoda. - Pani Barnaby skrzywiła piękne usteczka, wyraźnie zawiedziona. - Zastanawiam się, jaka była jego żona? Bo o tym, że był żonaty, to chyba wiesz? - Spojrzała na Jane spod rzęs.

O, tak, wiem. Jane wewnętrznie zadygotała. Śmierć jego żony dołożyła się jeszcze do tego, że jej własne życie zaczęło się wymykać spod kontroli w zastraszającym tempie.

- Owszem - potwierdziła gwałtownie. - Pewnie widziałś jej zdjęcia w gazetach zaraz po wypadku.

Miała wrażenie, że artykułuje słowa niewyraźnie, że drętwieją jej usta. Upłynęło tyle czasu, od kiedy się o tym mówiło.

- Wszyscy widzieli. To dopiero był skandal. Jennifer Vaughan była taka super, że innym babom aż się chciało wyć - dodała z niechęcią. - Nie o to mi jednak chodziło, Jane, nie o urodę. Ciekawiło mnie raczej to, jaka była naprawdę. Nigdy się nie spotkałyśmy. Gabriela w tamtych czasach nie znałam.

Jane również nie poznała Jennifer osobiście. Ale kiedyś bała się jej i skutków jej urody...

- Niestety, w tej sprawie nie potrafię być ci pomocna - powiedziała chłodno, marząc, żeby jak najszybciej wyjść. Cała ta rozmowa o Jennifer Vaughan... doprowadzała ją do szału. - Ja też znam Gabriela z okresu już po śmierci jego żony.

Nie obchodziło jej, czy Celia wie, że ona i Vaughan rozmawiali ze sobą po raz pierwszy w życiu kilka dni temu.

Gdyby jednak jej to powiedziała wbrew temu, co oznajmił on, wywołałaby jedynie jeszcze większe zaciekawienie. A tego naprawdę sobie nie życzyła.

- No cóż... - Celia zorientowała się, że nie wydobędzie od niej wiele więcej. - Pięknie się dzisiaj spisałaś. Rachunek prześlesz mi jak zwykle?

- Oczywiście. - Jane kiwnęła głową. I jak zwykle pani Barnaby będzie zwlekała z zapłatą, jak długo się da. Milionerka, a taka oporna w regulowaniu rachunków! Aż wstyd!

Prawdę mówiąc, mocno się zastanawiała, czy przyjąć od niej kolejne zamówienie. Celia Barnaby miała bardzo duże wymagania, a jeśli dodać problemy z płaceniem... Szkoda, że - zwłaszcza, iż jednym z gości okazał się Vaughan - nie posłuchała głosu rozsądku i nie odmówiła.

Kiedy wyszła na dwór, uderzył ją w twarz lodowaty podmuch zadymki.

- Pozwól, że ci pomogę. - Znad ciężkiej paki z przyborami kuchennymi, które woziła zawsze ze sobą i która nagle została wyjęta z jej rąk, uśmiechał się Gabriel Vaughan. - Pospiesz się - dodał, widząc, że stoi jak wryta. - Pada śnieg, zauważyłaś?

W gęstej zadymce mało co było widać. Tylko śnieg, śnieg, śnieg. Jezdnia na szczęście była czarna.

- Szybciej, otwieraj tę swoją kaletę. Przynajmniej będzie nam sucho.

Wsiadła, nawet nie zauważając, kiedy zdążył wtrzyąć się obok. Siedział ze szczęśliwą miną, najwidoczniej bardzo z siebie zadowolony.

- Co ty tu robisz? - warknęła z irytacją.

- Nie bawisz się, jak widzę, w ceregiele.

- Taka już jestem, niestety. Poza tym wydaje mi się, że powiedzieliśmy już sobie wszystko, co było do powiedzenia.

Oparł głowę i popatrzył na nią z namysłem. Śnieg na jego włosach stopniał i w świetle padającym z okien domu Celi wydawały się ciemniejsze niż zwykle.

- Co ja ci takiego zrobiłem, że aż tak mnie nie znosisz, Jane? Rozumiem - dodał niespiesznie - że nie podobają ci się moje metody prowadzenia interesów. Sama jednak powiedziałaś - a on to potwierdził - że nie jesteś związana z Richardem. Nie wydaje mi się też, żebyście - ty i Felicity - były przyjaciółkami od serca. Czemu zatem aż tak mocno obchodzą cię moje interesy z Warnerem? Nie wyglądasz mi na osobę skłoną walczyć w czyimś imieniu z niesprawiedliwością. Prawdę mówiąc - wręcz przeciwnie.

Jane znieruchomiła.

- To znaczy?

Wzruszył ramionami.

- To znaczy, że nie wydajesz mi się kimś, kto lubi zwracać na siebie uwagę. Że, podobnie jak ja, wolisz świecić odbitym światłem.

- Podobnie jak ty? - Skrzywiła się ironicznie. - Trochę dziwnie brzmi to wyznanie w ustach osoby, której zdjęcia ukazują się w porannych gazetach! Ale cóż, jesteś osobą towarzyską. ..

Ponownie posłał jej uważne spojrzenie.

- Chcesz wierzyć, czy nie, nienawidzę wszelkich przyjęć. A proszone kolacje to już najgorsze nudziarstwo; siedzi człowiek wciśnięty między jakichś ludzi, najczęściej obcych. Dziś na przykład po jednej stronie miałem Celię, a po drugiej panią, która mogłaby być moją babką.

Starsza pani, o której mówił, była istotnie babcią - babcią Celi. Utytułowana dama to skarb - jest się kim pochwalić w towarzystwie. Tyle że miała już dobrze po siedemdziesiątce i nie dosłyszała. Nietrudno więc było zgadnąć, dlaczego

Celia posadziła Gabe'a właśnie tak. Mając do wyboru przygłuchą staruszkę i ją, piękną i młodą, asystował przez cały wieczór głównie jej.

- W takim razie ukrywasz tę niechęć znakomicie - stwierdziła oschłym tonem.

- Dobrze wiesz, dlaczego przyszedłem do Warnerów. Chcesz usłyszeć, po co dziś znalazłem się tutaj?

Wystarczyło na niego zerknąć, żeby to zrozumieć. Nie chciała niczego słuchać.

- Jest późno, panie Vaughan. - Włożyła kluczyk do stacyjki, szykując się do odjazdu. - Bardzo bym chciała jechać już wreszcie do domu.

Skinął głową.

- A dokładnie, gdzie to jest?

- W Londynie, naturalnie.

- W Londynie... Niedaleko jakiegoś parku... Bo tam biegasz - odpowiedział żywo na jej ostre spojrzenie. - Ale... Nie mogłabyś być nieco konkretniejsza?

Nie, nie mogła. Prywatność była dla niej czymś, czego gotowa była bronić z zaciekłością lwicy chroniącej swoje małe, a wynajmowane mieszkanie stanowiło jej azyl.

- Strasznie ciężko cię namierzyć - wymruczał, przerywając przedłużającą się ciszę. - Żadna z osób, które o ciebie pytałem, nie ma pojęcia, gdzie mieszkasz. Klienci kontaktują się z tobą telefonicznie, płacą ci na rachunek bankowy, nie reklamujesz się, jak to zwykle bywa, na masce samochodu... - Pokręcił głową. - Po co ta cała tajemniczość, Jane?

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Rozpytywał o nią? Próbował się dowiedzieć, gdzie mieszka? Po co?

- Po co? - powtórzył i uzmysłowiła sobie, że ostatnią myśl wypowiedziała głośno. - Czy ty w ogóle masz pojęcie,

jaka jesteś piękna? A ta twoja przekłeta nieuchwytność sprawia, że jesteś jeszcze bardziej intrygująca.

Kabina wydała jej się nagle bardzo, bardzo ciasna. Był teraz tak blisko, że poczuła na skroni ciepło jego oddechu. Nie była w stanie się poruszyć, zahipnotyzowana intensywnością jego spojrzenia i intymnością sytuacji.

- Jane...

- Przepraszam. - Umknęła spod ręki, którą pieśczołtliwie położył na jej szyi. - Zechce pan wysiąść - rzuciła ze złością, niepewna, na kogo właściwie jest wściekła - na niego czy na samą siebie.

Czy to możliwe, że prawie dała się skusić na pocałunek? Byłoby to czyste szaleństwo. Groźba osobistej zatury, ale i zburzenia spokojnego życia, które mozolnie budowała dla siebie przez ostatnie lata.

Gabe nie poruszył się nawet. Ściągnął brwi.

- Pomyliłem się? Jesteś więc jednak z kimś związana? Dlatego tak zaciekle bronisz swojej prywatności?

I dlatego mi umykasz? Nie wypowiedział tych słów, ale pytanie wisiało w powietrzu. Uzmysłowała sobie, że mężczyźnie nawykłemu brać z życia wszystko, co chciał, łącznie z kobietami, na które miał ochotę, jej niechęć musiała się wydawać niepojęta. Chciał znać racjonalne powody, chociaż gdyby je poznał, byłby zapewne zszokowany.

- Nie.

Niebieskie oczy zwięziły się.

- Mówisz o mężczyźnie. A może... z kobietą?

Zaśmiała się i kpiąco pokręciła głową.

- Z kobietą też nie.

- Nigdy nie wiadomo. - Wzruszył ramionami, jakby się tłumaczył. - Ale, Jane, słuchaj. Jestem z tobą od samego początku szczerzy. Podobasz mi się. Podobasz mi się od chwili...

- Przestań, bardzo cię proszę - ucięła zimno. - Wprawiasz mnie tylko w zakłopotanie. Siebie zresztą też.

Zareagował gniewem, który odbił się na jego twarzy, ale zaraz opanował się, przywołując na twarz swój zwykły kpiąco-czarujący uśmiech.

- Nieczęsto bywam zakłopotany, Jane. A bez pytania daleko się nie zajdzie.

Skarciła go wzrokiem.

- Ludzie na ogół skłonni są zaakceptować, że niektóre pytania pozostają bez odpowiedzi.

- Na ogół, tak. Jednakże raz po raz przekonuję się, że o to, co warto mieć, należy się dobijać. - Wyrżał przez szybę. - Śnieg pada coraz gęściej, więc chyba naprawdę powinnaś znaleźć się w domu. - Nacisnął kławkę. - Jedź ostrożnie!

Zawsze była ostrożna, we wszystkim, co robiła. A już najbardziej dbała przez ostatnie trzy lata o to, żeby unikać spotkania z tym człowiekiem. I oto stało się to, czego zawsze tak się bała; odnalazł ją. W dodatku, z jakiejś nieodgadnionej przyczyny, wpadła mu w oko.

Trzy lata temu usiłował ją odszukać. Ścigał ją, aż poczuła, że nie ma już siły uciekać, aż zrozumiała, że musi zgubić samą siebie i stać się kimś innym. Zmieniła nazwisko, wygląd, przewartościowała w swoim życiu niemal wszystko, aż wreszcie skleciła je na nowo. Zyskała to, na czym jej zależało. Paradoksalnie, przyczynił się do tego Gabriel Vaughan.

Przebijając się przez zawieję, myślała z ciężkim sercem, ile czasu zostało do chwili, aż Gabe przejrzy ją na wskroś, a zainteresowanie dla jej osoby zmieni się w coś znacznie bardziej niemiłego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie mam pojęcia, co mu powiedziałaś - stwierdziła z radością Felicity - ale cokolwiek to było, bardzo, ale to bardzo ci dziękuję.

Odwiedziła ją dwa dni po przyjęciu u Celi Barnaby. Nie miała w tym dniu zamówienia, a dawno już uznała, że chociaż okres przedświąteczny jest nadzwyczaj korzystny finansowo, należy jej się trochę wolnego. Podpierała się już nosem, a gdyby padła z przepracowania, firmie na pewno nie wyszłoby to na dobre.

Miała wiele możliwości wykorzystania wolnego dnia, ale czuła się wobec Felicity trochę nie w porządku - nie odwiedziła jej jeszcze po szpitalu - toteż wpadła do niej po lunchu. Niestety, prawdę mówiąc, nie bardzo odpowiadał jej ton rozmowy, którą prowadziły przy herbacie.

- Wybacz, Felicity - pokręciła głową, uśmiechając się przepraszająco - ale nie wiem, o czym mówisz.

Miała nadzieję, że wygląda na zaskoczoną i nieświadomą niczego, ale w głębi duszy wiedziała, o kim mówi Felicity, chociaż nie miała żadnej pewności, co takiego zrobił obecnie Vaughan. Wiedziała tylko jedno: wszystko jedno, co to było, nie da się w nic wmanipulować.

Felicity zrobiła minkę. Po wydarzeniach z początku tygodnia słabowała jeszcze, chociaż dziś promieniała radością.

- Z tego, co mówi Richard, wnioskuję, że powiedziałaś Gabe'owi dokładnie, co o nim myślisz!

Jane poczuła ciepło wpływające na policzki.

- Oцениłam go jedynie w perspektywie jego metod działania w interesach.

- A jest też jakaś inna perspektywa? Hej, Jane!

- Nie... to znaczy w moim przypadku.

- Tak czy owak - Felicity porozumiewawczo ścisnęła ją za rękę - nie zamierzam się wtrącać. Wiem tylko jedno, a mianowicie to, że Gabe, zamiast wykupywać zakład Richarda, co praktycznie oznaczałoby przejęcie, zgodził się wesprzeć mego męża finansowo do momentu, aż firma stanie na nogi.

- Dlaczego? - Jane ściągnęła brwi. Brzmiało to zbyt pięknie, żeby mogła uznać za prawdę. Vaughan musiał mieć w tym swój interes.

- Richard zadał mu to samo pytanie. I wiesz, jaka była odpowiedź?

Nie domyśliłaby się nigdy i w gruncie rzeczy nie chciała wiedzieć. Czuła zresztą, że Felicity i tak podzieli się z nią zaraz tą informacją.

- Nie mam pojęcia.

Felicity Warner uśmiechnęła się.

- Wyjaśnił, że postępuje tak z uwagi na coś, co mu ktoś powiedział. Od razu pomyśleliśmy, że tym kimś możesz być tylko ty.

Nie chciało jej się wierzyć, żeby cokolwiek, co mogłaby powiedzieć Vaughanowi, wpłynęło na tak nagłą zmianę decyzji w odniesieniu do firmy Richarda.

Musiał być po temu jakiś inny powód. Wątpiła jednak, by Gabe zdecydował się wyjawić go przed kimkolwiek. Chyba żeby uznał to w pewnym momencie za stosowne.

- Nie sądzę. Ale cieszę się, ze względu na was, że się wycofał. - Miała też szczerą nadzieję, że się równie szybko

nie rozmyśli. - Na miejscu Richarda doprowadziłabym jednak jak najszybciej do spisania oficjalnego porozumienia.

- Wszystko jest już załatwione -zapewniła ją uradowana Felicity. - Wczoraj po południu prawnicy Gabe'a podpisali z radcą biura Richarda bardzo przejrzystą umowę. Och, mówię ci, jak mi ulżyło...

Było to po niej widać. Jane bardzo życzyłaby sobie podobnego samopoczucia, ale niestety... Przez całą drogę do domu dręczył ją niepokój. Łamała sobie głowę nad tym, dlaczego Vaughan, zdecydowany przejąć firmę Warnera, zmienił nagle swoje postępowanie i zdecydował się na o wiele mniej agresywne porozumienie. Odrzucała myśl, że wpłynęło na to coś, co mu powiedziała. Ten człowiek był po prostu zbyt twardy, zbyt bezwzględny, żeby mogło go poruszyć coś takiego jak ludzka słabość czy czyjeś tam oskarżenia.

Do domu dojechała pełna obaw i niepokoju, udręczona myśleniem i obładowana zakupami, które zrobiła po drodze. Nie była to więc najlepsza pora na to, co miało się zdarzyć. Bo oto na wycieracze w progu mieszkania znalazła ogromny bukiet.

Po pierwsze - niezależnie od tego, od kogo pochodziły kwiaty, a miała wrażenie, że to wie - kompletnie się czegoś podobnego nie spodziewała. Postanowiła sobie kiedyś, po bolesnym rozczarowaniu, jakie przeżyła przed laty, że już nigdy żaden mężczyzna - choćby robił najkorzystniejsze wrażenie - nie zbliży się do niej na tyle, by ewentualnie spowodować w jej życiu kolejny krach.

Po drugie - a pytanie było dość zasadnicze - w jaki sposób kwiaty te w ogóle dotarły na górę? Budynek był strzeżony, mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze - żartowano, że to prawie penthouse (domek na dachu) - i można się tu było dostać albo windą, albo schodami przeciwpożarowymi. Kwia-

ty, które ktoś przyniósł, powinny czekać w westybulu dzielącym wejście do budynku od drzwi wewnętrznych. Drzwi mógł otworzyć wyłącznie jeden z czterech lokatorów. A w takim razie, jak ów bukiet dotarł przed jej drzwi?

- Wpuściła mnie pani spod trójki. - Z zacienionego korytarza, wprost z wyłożonej chodnikiem podłogi, podniósł się Vaughan i powoli ruszył w jej stronę. - Prawdziwa romantyczka. Wpuściła mnie nader ochoczo, kiedy powiedziałem, że jestem twoim narzeczonym z Ameryki i że wpadłem, żeby ci zrobić niespodziankę.

Jane w pierwszej chwili była za bardzo poruszona samą obecnością Gabe'a, żeby zrozumieć to, co mówił. W końcu jednak treść jego słów dotarła do jej rozkojarzonego umysłu, a wtedy odezwał się w niej straszliwy gniew.

To był jej dom, jej azyl, nikt nie miał prawa się tu wdziierać! A już na pewno nie on! Nigdy! Spojrzała na niego z furią w oczach. ,

- Panie Vaughan! - wycodziła przez zęby. - Proszę zabrać swoje kwiaty i...

- Mam nadzieję, że nie usłyszę nic ordynarnego, Jane - uciał drwiąco.

- ...i siebie samego - dokończyła twardo. Oddychała szybko, na twarz wystąpiły jej rumieńce. - Proszę stąd wyjść. Nim wyrzuci cię policja, którą zaraz wezwę - ostrzegła, kiedy próbował się odezwać. - Nie mam pojęcia, jak się dowiedziałeś, gdzie mieszkam, ale...

- Na czas pobytu w Anglii wypożyczyłem samochód. Tamtej nocy była taka wstrętna pogoda, że postanowiłem pojechać za tobą. Chciałem mieć pewność, że dotarłaś do domu cała i zdrowa - wyjaśnił łagodnie.

Nietrudno było dostrzec, jaka jest roztrzęsiona i zdenerwowana. Może to i zauważył, ale lepiej, żeby również usłyszał!

- Pańskie zachowanie, panie Vaughan, graniczy z napaścią - powiedziała głośno. - Jeśli to się powtórzy, złożę skargę na policji.

Wiedziała dobrze, że niczego takiego by nie zrobiła. Przed trzema laty w sprawę zaangażowana była policja. Przyjeżdżali do domu, wtrącali się we wszystko, wściubiali nos w jej osobiste życie, w życie Paula... Nie ma mowy, żeby jeszcze raz chciała się narażać na podobny młyn, na to piekło i cyrk ponownie z Gabrielem Vaughanem w roli głównej.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Chciałem jedynie się upewnić, czy dotarłaś bezpiecznie do domu.

- Nie wierzę! Widzę to zupełnie inaczej, a policja też zapewne będzie miała na temat twojego zachowania własną opinię!

- Słuchaj, czy ty nie traktujesz tego wszystkiego zbyt poważnie? - Spróbował ją udobruchać ciepłym uśmiechem.

Pojechał wtedy za nią, wytropił, gdzie mieszka, a dziś podstępem dostał się na piętro. Za pretekst posłużyły kwiaty, lecz faktycznie chodziło mu o to, żeby móc czekać na nią, gdy wróci do domu. Nie, jej reakcja nie była wcale przesadna.

- Evie, to znaczy tej z piętra niżej, takie postępowanie może się wydawać bardzo romantyczne - rzuciła z irytacją, czując na sobie jego wzrok. Od miesięcy sąsiadka ta próbowała wyciągnąć od niej, czy kogoś ma. Sama związana była z żonatym facetem i tylko dlatego mogła sobie pozwolić na mieszkanie w lokalu o tak wysokim standardzie. - Ale mnie, wprost przeciwnie, wydaje się ono absolutnie nie na miejscu. Gdybym chciała, żebyś wiedział, gdzie mieszkam, podała-bym ci po prostu adres!

- Ojjoj! A nie stać cię na odrobinę współczucia dla samotnego mężczyzny na obcej ziemi?

- Ładny mi „samotny mężczyzna"! Na jedno kiwnięcie ustawi ci się pod drzwiami kolejka bab do towarzystwa.

- Ale ja wolę wybierać sam.

- I ja jestem tą wybranką?

- Krótko mówiąc, tak. Oj, Jane... Czy koniecznie muszę tłumaczyć? Jesteś niezależna, prowadzisz świetnie własną firmę, masz styl, no i jesteś bardzo, bardzo piękna...

Ścisnęło ją w gardle. Tak dawno nie słyszała takich słów od mężczyzny... Taką podjęła decyzję, pogodziła się z faktem, że tak musi być. Ale dlaczego, dlaczego mężczyzną tym musi być właśnie Gabriel Vaughan?

- W przeciwieństwie do? - przerwała szorstko, pewna, że nie jest jedyną ładną kobietą w jego otoczeniu.

- Och. Inne też są piękne, bez wątpienia, ale i - skrzywił się - puste, lalkowate, egoistyczne. Zazwyczaj myślą tylko o jednym: żeby wyjść bogato za męża. A potem mogą być nadal puste, egoistyczne, et cetera, et cetera.

Opisał właśnie typ kobiety, która była jego żoną - ślicznej jak obrazek i nieskończenie egoistycznej. Westchnęła i na moment przymknęła oczy.

- Gabe...

- Nareszcie! Pierwszy raz nie mówisz do mnie po nazwisku! - Zrobił zwycięską minę. - Znajdzie się tu coś na kolację? - Wziął od niej torby z zakupami i zajął do środka.

- Aha, ma być spaghetti bolognese - domyślił się szybko.

- Ugotujesz makaron, a ja w tym czasie przyrządzę sos.

- Ty ...

- Niechby raz dla odmiany ktoś cię czymś uraczył. Zrobię tylko sos, obiecuję.

Błyskawicznie ogarnęła myślą swoje mieszkanie. Zostawiła porządek. Schludne, przyjemne, ale jakby pozbawione klimatu. Żadnych zdjęć, niczego, co mogłoby ją zdemasko-

wać... Stop. Chyba nie myślała poważnie o zaproszeniu Vaughana do siebie? A może jednak?

Jakaż magiczną moc miał nad nią ów człowiek, skoro w ogóle rozważała taką możliwość?! Może, mimo wszystko, złapała się na żart o „samotnym mężczyźnie”? Z własnego doświadczenia wiedziała, jaka smutna, jaka pusta potrafi być samotność.

- Nie będziesz mi się kręcił po kuchni. Usiądziesz, a ja zrobię, co trzeba - zapowiedziała stanowczo, podnosząc kwiaty z wycieraczki i otwierając drzwi.

Weszła pierwsza i nie dała mu za wiele czasu na rozglądanie się po mieszkaniu. Obszerna kuchnia wyłożona była drewnianą boazerią. Z sufitu zwisały się pęki ziół i przypraw. Z rzędu haków umieszczonych przy stole połykiwały patelnie, garnki i garnuszki. Dębowy stół kupiła kiedyś na aukcji mebli pochodzących ze starego majątku. Lata ciągłego użytkowania sprawiły, że blat był miejscami podrapany i pocięty. Pewne zarysowania były już jej własnym dziełem.

- Dokładnie tak to sobie wyobrażałem - powiedział powoli, z przyjemnością rozglądając się wokół.

Jak to: „wyobrażałem sobie?” Kiedy to zaczął wyobrażać sobie, jak wygląda jej dom?

- Już podczas kolacji u Warnerów - dodał niewinnie, zauważając wyrzut w jej oczach. - Dom mówi sporo o człowieku.

Właśnie! Pewnie dlatego nigdy tu nikogo nie przyprowadzała. Nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek wyciągał wnioski na jej temat.

- A to jest kuchnia szefowej kuchni - stwierdził wesoło, rozpakowując torby. - Jest wszystko, co może się przydać do gotowania. - Pokazał na niezliczone garnki i garnuszki

i zdjął z wieszaka jeden z noży. - Noże oczywiście naostrzone jak należy... O, jest i wino, o temperaturze pokojowej, którym można się rozkoszować przy pitraszeniu. - Uniósł w górę butelkę stojącą na stole i zerknął na Jane.

Miał rację. Zostawiła wino na stole, żeby miało wieczorem odpowiednią temperaturę. Lubiła je popijać, przygotowując sobie posiłek. Ale to „rozkoszowanie się” brzmiało w ustach Gabe'a trochę za poufale. Ten ton obiecywał coś, czego miała nadzieję uniknąć.

- Rozchmurz się, Jane - doradził ze śmiechem, spostrzegając w jej oczach niezdecydowanie, i odkorkował butelkę, gdy zajęła się wstawianiem kwiatów do wody. - Zaproponowałem, żebyśmy napili się wina, a nie poszli razem do łóżka. - Zdjął kurtkę i powiesił na oparciu krzesła.

Postawiła wazon z kwiatami na parapecie.

- Kieliszki są w górnej szafce.

Do łóżka! Dobre sobie! Nie spała z mężczyzną od czasu... Na samą myśl o tym, że kiedyś dzieliła łóżko z Paulem, aż się wzdrygnęła. Dobrze, że odwrócony twarzą do szafki nie mógł tego widzieć. W przeciwnym razie mogłoby go zainteresować, czemu dwudziestoosmioletnia kobieta, zdrowa i niebrzydka, trzęsie się na myśl o takiej możliwości.

Gabe nalał wina do kieliszków i wziął się za krojenie cebuli jednym z jej ostrych noży. Chciał nie chciał, mogła tylko podziwiać, jak zgrabnie to robił. W rondelku na kuchni topiło się już masło do sosu. Gabe coś sobie podśpiewywał pod nosem.

Dziwne. Zawsze, kiedy myślała o Vaughanie, stawał jej przed oczyma silny, bardzo wysoki mężczyzna o ponurej, złej twarzy. Ten tymczasem uśmiechał się do siebie przy smażeniu cebuli i wcale, ale to wcale, nie pasował do tamtego wyobrażenia.

Odwrócił się po wino.

- Mamy frajdę, co? - Uśmiechnął się szeroko i upił łyk.

Uśmiech Jane był o wiele ostrożniej szy. Miała dziwne uczucie, jakby zmiotło ją tornado. Jak to się w ogóle stało, że ni stąd, ni zowąd znaleźli się w jej kuchni i razem przygotowywali kolację? Nigdy w życiu by nie pomyślała, że kiedykolwiek przyjdzie jej spędzać czas na przygotowywaniu kolacji z tym oto człowiekiem.

- Jane... - Łagodnie przerwał przedłużające się milczenie z jej strony. Patrzył na nią bez uśmiechu, ze zmarszczonym czołem.

I właśnie to, to zniknięcie uśmiechu - naturalnego, sympatycznego, bez cienia sztuczności czy fałszu - poruszyło ją najmocniej. Jeszcze przed sekundą Gabe autentycznie się cieszył. Poczła się winna temu, że mu tę radość odebrała.

- Z cebulką poradziłeś sobie wręcz artystycznie - zażartowała, sięgając po swój kieliszek. - Można by pomyśleć, że często się tym kiedyś zajmowałeś.

- Bardzo często. - W jego głosie, gdy odwrócił się, by wrzucić cebulę na masło, zabrzmiała znowu wesołość. - W domu lubię pitrasić, ale ostatnio zdarza mi się to rzadko... Jennifer, moją żonę, w ogóle nie obchodziło coś tak prozaicznego jak gotowanie, chyba że od wielkiego dzwonu chciała się przed kimś pochwalić.

Jego żona. Jennifer. Jakże bolał ją kiedyś sam dźwięk tego imienia. Teraz jednak, gdy wypowiedział je człowiek, który był jej mężem, nie odczuła nic, nawet odrętwienia, które wtedy było lekarstwem na wszystko.

- Więc zajmowałeś się tym ty - powiedziała bez emocji i szybko zajrzała do gotującej się wody.

- Więc zajmowałem się tym ja - powtórzył z ironią, wkładając do duszącej się cebuli posiekane mięso. - Niestety,

Jennifer bardziej niż jej własny mąż interesowało to, co myśla o niej cudzy mężczyźni.

Jane nie miała nawet świadomości, że trzyma nóż. Nie miała też pojęcia, kiedy się nim skaleczyła. Nagle zobaczyła przed sobą krew i poczuła piekący ból wskazującego palca lewej dłoni. Co za paradoks, pomyślała wstrząśnięta. Skaleczyła lewą rękę. Tę, na której tkwiła kiedyś ślubna obrączka.

- To było coś, czego... Jane, a niech to! - On też nagle spostrzegł krew. Błyskawicznie zdjął garnek z płyty, podbiegł do niej i ucisnął palec, żeby zatamować krwawienie. - Jak to się stało? Może konieczne będzie szycie... Jak myślisz, może powinienem zadzwonić po...

- Gabe... - To ona skaleczyła się w palec, ale panikarzem zdecydowanie był on! - To tylko mała ranka. Wypadek przy pracy, ot co - dodała bagatelizująco. Wolała się nie zastanawiać nad tym, jak to może utrudnić jej życie przed świętami. Tyle zamówień, mnóstwo pracy, ręce ciągle mokre... Choćby nawet nie było to poważne skaleczenie, odczuje je jako dyskomfort.

Diabli nadali. Żeby zrobić coś tak głupiego! Oczywiście, winien był Gabe i jego wspominki o żonie. Nie była należąco skupiona.

- Plastry są w szafeczce nad suszarką - rzuciła ostro, przemywając ranę zimną wodą. Piekący ból pomógł otrząsnąć się z szoku. Bo to, że mówił o Jennifer z taką łatwością, z taką niemal kpina, było dla niej szokiem.

Osuszyła rękę, a Gabe sprawnie opatrzył skaleczenie.

- Nie mam już żony - powiedział spokojnie, zaglądając jej w oczy.

A więc to tak! Uważał, że się skaleczyła, ponieważ przstraszyła ją myśl, że spędza wieczór z zonatym mężczyzną. Może i dobrze, że tak sądził.

- Z pewnych względów to i lepiej - stwierdziła gładko.
- Bo gdybyś był żonaty - dodała, widząc błysk triumfu w jego oczach - Evie, ta z dołu, byłaby zdruzgotana. Rozwiąłoby to jej romantyczne iluzje.

- Ach, tak. - Westchnął, kiwnął głową i podszedł do kuchni. - Moja żona umarła - powiedział szorstko, patrząc w garnek.

Śmierć Jennifer musiała go zatem wciąż boleć. Powinna była pamiętać, a wiedziała o tym lepiej od innych, że kocha się nie zawsze dobrych i miłych ludzi.

Jennifer Vaughan nie była ani dobra, ani miła. Była piękna, nieokiełznana i niesłychanie niebezpieczna. Miała wewnętrzną potrzebę podporządkowywania sobie mężczyzn, a zarazem odmawiała im władzy nad sobą. Tylko jednemu i tylko w niewielkim stopniu udało się nad nią zapanować. Gabrielowi Vaughanowi. Z tego, co do tej pory powiedział, i z tego, co sama знаła z własnego doświadczenia, to panowanie miało gorzko-słodki smak. Może nawet bardziej gorzki niż słodki. A jednak, bez względu na wszystkie jej przewiny, Gabe kochał swoją żonę...

- To była zwykła dziwka - warknął, odwracając się nagle i przesywając Jane wzrokiem. - Piękna, amoralna. Jediną radością jej życia było niszczenie tego, co inni zbudowali. Bawiła się ludzkim życiem jak dzieci klockami. Co jedno zbuduje, to drugie mu zwali. Niszczyła z premedytacją, z uśmiechem, z błyskiem w niedobrych zielonych oczach.

Jane przełknęła ślinę. Nie chciała tego słuchać.

- Gabe...

- Nie bój się - odburknął kpiąco. - Mówię ci to tylko po to, żebyś wiedziała, że nie mam zamiaru wygłaszać chwytającej za serce bajeczki o cudownym małżeństwie. Bo nie było cudowne.

- Ale ją kochałeś.
- Pewnie, że kochałem! - wybuchnął, chwytając ją za ramiona. - Ożeniłem się z nią. Być może to był błąd. Nie wiem. - Bezradnie pokręcił głową. - Ją podniecał jedynie flirt. Kochający człowiek nie był jej potrzebny.

- Gabe, naprawdę...

- Co: naprawdę? Nie chcesz o niczym słyszeć? No to trudno, bo ja, chcesz czy nie chcesz, będę ci o tym opowiadał.

- Ale dlaczego? Dlaczego? Nie proszę cię o nic, nic od ciebie nie chcę. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek...

- ..przeszkadzał ci żyć w twojej wieży z kości słoniowej - dokończył lakonicznie. - Rozumiem, to dosyć wygodne. Ale wieża to zawsze wieża. I oświadczam ci, że mam zamiar ją zburzyć.

- A nie czujesz, że staniesz się przez to tak samo destruktywny jak twoja żona? - Sztywna ze zdenerwowania odsunęła się od niego jak najdalej, na tyle, na ile pozwalały oparte na jej ramionach ręce. Większy dystans mogła stworzyć już tylko słowami. Bolesnymi dla niego, tak jak to, co mówił, było bolesne dla niej.

- Ona nie żyje, Jane - zaakcentował szorstko. - To przeszłość. A poza tym... Nie, to, co chcę zrobić, nie upodabnia mnie do Jennifer. Nie chcę niczego burzyć dla samego burzenia. Chcę budować.

- Na okres tych trzech miesięcy, które, jak twierdzisz, zamierzasz spędzić w Anglii? - Z niesmakiem pokręciła głowę. - Nie, Gabe, dziękuję. Czemu nie poderwiesz Celi Bar-naby? Jestem pewna, że byłaby więcej niż szczęśliwa i...

Głos odebrały jej nagle wargi Gabe'a. Przyciągnął ją do siebie tak mocno, że zabrakło jej tchu i siły. Wykorzystał ten moment w pełni. Sycił się pocałunkiem, aż w końcu otrzeźwiał - poczuł, że Jane nie reaguje, że zachowuje się jak

martwa. Zaczął wtedy całować ją łagodnie, ujmując jej twarz w dłonie, spokojnie, delikatnie. I nagle poczuł, że mu odpowiada. Pieszczotliwym ruchem warg wyzwolił w niej coś głębokiego, najgłębszego, budził emocje i pragnienie czegoś, czego odmawiała sobie przez trzy lata. Tyle że Gabe jej nie kochał. Ani ona jego. Wszystko, co ewentualnie mogliby sobie wzajemnie dać, obróciłoby się w perzynę, z chwilą kiedy odkryłby, z kim naprawdę ma do czynienia.

Uniósł lekko głowę i spojrzał na nią błyszczącymi z emocji oczyma.

- Nie interesuje mnie Celia - powiedział zduszonym głosem. - Nic a nic. Znalazłem się u niej, ponieważ wiedziałem, że ty tam będziesz.

Było zatem tak, jak twierdził od początku, chociaż miała nadzieję, że to jedynie żarty.

- Chcę ciebie, Jane.

Oderwała się od niego, odzyskując oddech.

- Niestety, Gabe, to niemożliwe. Bo ja ciebie nie chcę - uzupełniła, widząc, że zdenerwowany, chce się sprzeciwić.

- Mam świadomość, że wszechmocnemu Gabrielowi Vaughanowi trudno przyjąć do wiadomości, że kobieta może go nie chcieć, ale...

- Nie obrażaj mnie, Jane - przerwał. - Już zresztą coś podobnego mówiłaś. Co się z tobą dzieje, kobieto? - Przyjrzał się jej uważnie. - Chcę ciebie od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem. Zresztą, chodzi nie tylko o to... W ogóle coś się we mnie przekreśliło. Od tego momentu myślę więcej... a dziś także mówię... o mojej żonie, o której przez trzy lata starałem się zapomnieć. Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

- Jego oczy jeszcze raz zapaliły się gniewem, choć trudno było orzec, czy złościł się na nią, czy na samego siebie.

Wiedziała doskonale, dlaczego w ostatnim tygodniu my-

ślała więcej o przeszłości, o swoim nieżyjącym mężu Paulu. Gabriel Vaughan, niegdyś w pewien sposób uwikłany w tę śmierć, sprawił swoim pojawieniem się, że wróciły do niej wszystkie niechciane wspomnienia. Coś podobnego, tyle że nie był tego jeszcze świadom, zaczęło się dziać również z nim. Rozpoznawał w niej podświadomie coś, co budziło w nim pamięć i zmuszało do refleksji?

Ile czasu upłynie, nim te intuicje zmieniają się w pewność?

- Nie wiem, Gabe, i nie chcę się dowiadywać. Jedno wiem jednak na pewno... nie jestem tobą zainteresowana.

Z bijącym sercem czekała na to, co powie.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda - usłyszała. - I ja to wiem. Kimkolwiek był ten twój facet, Jane, nie jest wart tego, żebyś schowała się przed całym światem...

- ...w mojej wieży z kości słoniowej - dokończyła złośliwym tonem, wściekła na niego i na siebie za rumieniec, który oblał jej twarz, i za to, że kilkoma słowami i pocałunkiem obalił bariery, chroniące tak długo jej życie emocjonalne. - A ty? Podobno też nie lubisz się afiszować. To przez Jennifer?

Uniósł brwi i uśmiechnął się ironicznie.

- Brawo, Jane, brawo! Strzał piękny, tyle że nic ci nie da. Wszystko, co moja żona nawyrabiała w życiu, dawno już przestało mnie boleć.

- A jej odejście? - zapytała gwałtownie i natychmiast tego pożałowała. Gabe patrzył na nią czujnie. Angażując się zbyt mocno w całą tę sytuację, zapomniała o ostrożności.

- Jennifer zginęła w wypadku samochodowym - odparł spokojnie. - Nie ma nic bardziej ostatecznego od śmierci. Zmarli nie są w stanie nas ranić.

- Naprawdę? - Mocno potrząsnęła głową.

- Gdyby nie straciła życia tak, jak straciła, chyba sam

bym ją kiedyś zabił. Tak więc - podsumował cierpko - swoją śmiercią oszczędziła mi jedynie kłopotu.

To nie tak, pomyślała Jane. Wiedziała, że to nie tak. I niezależnie od tego, z jaką goryczą wspominał obecnie żonę, on też to wiedział. Trzy lata temu, po wypadku, w którym zginęła Jennifer, zachowywał się jak szalony. Musiał znaleźć winnego, a ponieważ jedyna osoba, którą mógł obwiniać, straciła życie, za swoje upokorzenie, za straszny los odegrać się mógł jedynie na żywych. Słusznie się teraz domyślał, że za jej zamknięcie w fortecy, w tej, jak to nazywał, wieży z kości słoniowej, ponosi odpowiedzialność mężczyzna. Ten sam, który w jakiejś mierze odpowiadał za to, że zdecydowała się zostać nikim. Jakąś tam Jane Smith. Ten sam, przed którym przez trzy lata ukrywała siebie prawdziwą.

Mężczyzną tym był nie kto inny, a Gabriel Vaughan.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie rób takiej przerażonej miny - zażartował. - Mordercze uczucia żywiłem wyłącznie wobec mojej żony. Tak w ogóle to nie znoszę przemocy.

Też jej nienawidziła. O Boże, z całej duszy! A przecież nie była jej obca.

- Mówi się, że miłość od nienawiści oddziela bardzo cienka linia.

To także wiedziała. Kiedy wychodziła za mąż, była zakochana w Paulu po uszy, ale po czterech latach małżeństwa znienawidziła go z całego serca.

Za to, co zrobił jej rodzinie, za to, co jej odebrał.

Rozumiała także, że bez względu na to, jak egoistyczna była Jennifer i jak trudno było Gabe'owi z tym żyć, bardzo ją kochał. Dlatego odszukał ludzi, których podejrzewał, że mogą ponosić choćby część odpowiedzialności za jej śmierć.

- Skończmy może przygotowywać kolację - zasugerował ożywiony, stawiając swój garnuszek na kuchni, ale nie zareagowała. Patrzyła na niego oszołomiona. Nie chciało się jej gotować ani tym bardziej jeść. - No, rusz się. Jedzonko dobrze nam robi. - Odwrócił się, uznając najwidoczniej, że to, co powiedział, załatwia sprawę. Mieli zjeść razem kolację. Koniec, kropka.

Nawykł do wydawania poleceń i do tego, że je wykonywano.

Zajęła się spaghetti, ale nie dlatego, że tego chciał. Po prostu - kiedy pitrasiała, zapominała o całym świecie, a w obecnej chwili bardzo tego potrzebowała.

- Pycha! - stwierdził z satysfakcją niedługo potem, dodając swoją porcję spaghetti i sięgając po czerwone wino.
- Powinniśmy chyba poprowadzić coś razem.

Spojrzała na niego ostro. Błyszczały mu oczy. Najwyraźniej przekomarzał się z nią, oczekując reakcji.

- Nie sądzę. Nie wyobrażam sobie, żebyś potrafił pracować u kogoś - odpowiedziała zjadliwie.

- Nie bądź taka dosłowna... - Zrobił minę. - Chodziło mi raczej o układ na zasadach partnerskich.

Pokiwała ironicznie głową. Wiedziała dokładnie, co miał na myśli. Roześmiała się, nawijając makaron na widelec.

- Dlaczego miałabyś zawsze kucharzyć po cudzych domach? Nie lepiej, jak sugerowała Felicity, otworzyć restaurację? Miałabyś więcej klientów, więcej...

- ...urzędasów na głowie - dokończyła. - Więcej pracowników i więcej komplikacji.

Oczywiście nie niechęć do tego wszystkiego zadecydowała kiedyś o tym, że postanowiła pracować sama. Założyła jednoosobową firmę, ponieważ nie stać jej było na zainwestowanie w tak ryzykowne przedsięwzięcie, jakim jest otwarcie własnej restauracji. Trzy lata temu mogła liczyć wyłącznie na siebie. Wykorzystanie talentów kulinarnych wydawało jej się wtedy najlepszym rozwiązaniem, a i tak musiał minąć cały trudny rok, nim zaczęła w tym kierunku działać.

- A ty jesteś kimś, kto woli komplikacji unikać - skomentował złośliwie.

- Wydawało mi się, że mam większe szanse, jeśli będę polegać wyłącznie na sobie.

- Rozumiem, ale co dalej? Masz już swoją klientelę, nie trzeba dużo, żeby...

- Nie każdy jest taki ambitny jak ty - ucięła. - Trzy lata temu nie miałam nawet tego, co dziś...

- A co się stało trzy lata temu? Pytam wyłącznie przez ciekawość - uspokoił ją, widząc, że jest poruszona. - Może zresztą sformułowałem pytanie niewłaściwie... Powinienem raczej spytać, czym się wtedy zajmowałaś?

Do osiemnastego roku życia chodziła do szkoły. Potem, zamiast zdawać na wyższą uczelnię, wybrała wyjazd do Francji na dwuletni kurs gastronomii. W wieku dwudziestu lat, parę miesięcy po powrocie do kraju, poznała Paula i została narzeczoną. W dwudziestym pierwszym roku życia wyszła za mąż, a w dwudziestym piątym owdowiała. O szczegółach swego czteroletniego pożycia małżeńskiego wołała nie myśleć. To było zbyt bolesne.

Nie zamierzała opowiadać Gabrielowi Vaughanowi o żadnej z tych spraw.

- Wieloma rzeczami. - Starła się nie spotkać z nim wzrokiem. - Ale zawsze chciałam mieć własną firmę. Nie potrafiłabym żyć w czyimś cieniu, potakiwać, zachwycać się innymi, mówić, jacy są cudowni, udani... Zakłamanie!

- I masz ją. Taka to frajda, jak myślałaś?

Frajda? Nie oczekiwała po tej pracy frajdy. Pragnęła wyłącznie niezależności, wolności... Własna firma jej to dała. Mogła decydować o sobie i nikomu nie podlegać.

- Są w życiu wartości większe niż sukces zawodowy - dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Na przykład? - rzuciła wojowniczo.

- Na przykład miłość.

Roześmiała się szyderczo.

- Nie rozumiem, jak możesz coś takiego mówić? Po takim małżeństwie?

- No cóż - odezwał się po chwili milczenia. - Jennifer nie dała mi szczęścia. Potem jednak - zamyślił się - spotkałem kogoś, kogoś... tak mi się wydaje... właściwego, tylko że ta dziewczyna gdzieś mi zniknęła, nie wiem, po prostu wyparowała. Od tego czasu nie potrafię patrzeć na kobiety i nie szukać w nich jej. A przynajmniej - nie potrafiłem jeszcze przed niespełna tygodniem.

- I co się stało? No... nie, Gabe... - Machnęła ręką, uświadamiając sobie, że mówi o spotkaniu z nią. - Zawsze wstawiasz takie gadki-szmatki?

- To nie jest gadka-szmatka - zaprzeczył stanowczo. - Dobrze o tym wiesz.

- Nie bądź śmieszny! - burknęła, chociaż wyraz oczu Gabe'a świadczył o tym, że mówi prawdę. - To niemożliwe, żebym ci się podobała!

- Interesujący sposób stawiania sprawy.

Znowu zbyt późno uświadomiła sobie swój błąd. To, jak odpowiedziała, wyglądało na prowokację, bo przecież tylko ona rozumiała właściwie sens i ton tej opinii.

- Nie jestem w twoim typie - wyjaśniła niecierpliwie.

- Ciekawe. To ja w ogóle mam jakiś swój typ?

Westchnęła ciężko.

- Oczywiście. Zawsze podobały ci się wysokie blondynki. Ożeniłeś się z wysoką blondynką! A ja... - Urwała, uświadamiając sobie, że znowu powiedziała za dużo. Widać w jego obecności nie potrafiła zachowywać się inaczej.

Nie była dobra w wyszukanych słownych gierkach, które ludzie tacy jak Gabe - i jej były mąż - po prostu uwielbiali. Był to jeden z powodów, dla których Paul się nią znudził. Pewny, że ślub panny z dobrego domu z równie dzianym

kawalerem, to swego rodzaju gra, był wściekły, kiedy okazało się, że jego żona jest po prostu sobą. Drażniła go jej nieśmiałość, skromność, jej ogromna, prawdziwa miłość, wszystko.

Małżeństwo stało się piekłem. Dziewczęca wstydlivość, z jaką w nie wstępowała, zamieniła się w zimną rezerwę, którą broniła się przed docinkami męża. Bezgraniczna miłość rozplynęła się w żalu o to, że najwyraźniej nie był zdolny do podobnego uczucia. „Panienska z dobrego domu” nie żaliła się nikomu, starając się oszczędzić rodzicom cierpienia. Nie chciała, żeby wiedzieli, że wychodząc za mąż za Paula, popełniła straszliwy błąd.

- Ty jesteś niską brunetką - stwierdził lakonicznie. - Jak na złość i na przekór wysokim blondynkom. - Nagle jego oczy zwęziły się. - Skąd wiesz, że moja żona była blondynką? Jestem pewien, że tego nie mówiłem...

W głosie Gabe'a pojawiła się stalowa nuta. Dla Jane stało się absolutnie jasne, że wszystko zależy teraz od jej odpowiedzi.

- Tamtego wieczoru Celia Barnaby chciała koniecznie porozmawiać ze mną o tobie - powiedziała i z ulgą spostrzegła, że jego napięte rysy rozluźniają się. Celia co prawda nie wspomniała, że Jennifer była blondynką, ale nieważne! - Nadmieniła o tym pewnie dlatego, że sama jest wysoką blondynką, a co za tym idzie, ma u ciebie szanse.

Otrząsnął się, odzyskując w pełni swobodę.

- Wygląda na to, że straciłem apetyt na blondynki.

W takim razie szkoda, że jej włosy nie miały już naturalnej barwy. Przynajmniej pod tym względem straciłaby dla niego na atrakcyjności. Gdyby jednak pozostała blondynką, pewnie od razu by ją rozpoznał.

A to się nie mogło zdarzyć. Nigdy!

- Celia uważa, że blondynki mają więcej uroku.
 - Daj spokój... - skrzywił się drwiąco. - Ile masz lat?
- Raptownie zmienił temat.

Zamrugała nerwowo. Zapobiegła jednej wpadce, ale wcale nie miała pewności, czy za moment nie czeka ją następna.

- Dwadzieścia osiem.

Kiwnął głową, jakby się tego mniej więcej domyślał.

- A ja trzydzieści dziewięć.

- No i co z tego?

- Jeszcze nie skończyłem - upomniał ją łagodnie. - A zatem: mam trzydzieści dziewięć lat, byłem żonaty. Jestem człowiekiem zamożnym, mogę robić, co chcę i kiedy chcę... podobnie jak ty. Różnica polega na tym - ciągnął, nie pozwalając sobie przerwać - że mnie to nie wystarcza. Kiedy trzy lata temu zmarła moja żona... Ciekawe - zastanowił się nagle. - Zmiany w twoim życiu nastąpiły mniej więcej w tym samym czasie...

Wstrzymała oddech, czekając, co powie dalej. Jeśli powie... Boże, pomodliła się w myślach, spraw, proszę, żeby nie kontynuował tego tematu.

Gabe wzruszył ramionami, jakby było to coś, do czego postanowił wrócić przy innej okazji, i powiedział szorstko:

- Wraz ze śmiercią Jennifer straciłem wszelkie złudzenia. Iluzję, że ktoś może być doskonały, również.

Nic dziwnego. W takich okolicznościach! Musiał naprawdę bardzo kochać Jennifer, żeby kiedykolwiek uważać ją za doskonałą. Czy jednak ona sama nie pobłądziła podobnie w odniesieniu do Paula? Miłość, jak się okazało, wystrychnęła ich na dudków, ogłupiła.

- A może tak mi się tylko wydawało - dodał miękko, patrząc na nią.

- Zapewniam cię, daleko mi do doskonałości - oświad-

czyła stanowczo i wstała, by odnieść swój talerz. Zjadła tylko połowę nałożonego makaronu, ale przynajmniej dla niej wieczór zakończył się. Miała dosyć. - Życzę ci powodzenia w poszukiwaniu pełni szczęścia. Ale na mnie nie licz. Nie dorastam do twoich wymagań i, co może ważniejsze, tak się składa, że odpowiada mi moje życie takie, jakie jest.

Rzeczywiście tak to odczuwała. Była sobie szefem - i w pracy, i w domu - mogła wybierać, co chce, a czego nie chce robić. Tak to wymyśliła i pragnęła, żeby tak już zostało.

Gabe dostrzegł widać jej determinację, gdyż podniósł się również.

- Nigdy nie tęskniłaś za czymś innym? Za małżeństwem, za tym, żeby mieć dzieci?

Zakłuło ją w sercu, ale natychmiast zapanowała nad sobą. Kiedy spojrzała na niego, jej oczy były zimne i nieprzeniknione.

- Tak jak ty - powiedziała, czując, że drętwieją jej usta - znam smak tego pierwszego. Wiem również, że... tych drugich też nie muszę koniecznie mieć. Nie. Nie tęsknię za tymi sprawami.

Już raz jej się to wszystko marzyło. I wystarczy. Stanowiła o sobie i nigdy nikt nie odbierze jej niezależności.

- Byłaś zamężna?

Jeszcze raz sprowokował ją do powiedzenia za dużo. Dużo za dużo. Ledwie zdążyła poskromić jego ciekawość w jakiejś sprawie, wpadała w kolejną pułapkę.

- Każdemu może się zdarzyć - odpowiedziała lekceważąco.

Niebieskie, przejrzyste oczy wpatrywały się w nią badawczo i na moment ich spojrzenie padło na jej lewą rękę. Nie umknęło to jej uwagi, ale wiedziała, że nie ma na palcu

najmniejszego śladu po obrączce, która od dawna leżała na dnie rzeki.

- Jesteś rozwiedziona?

O, nie! Nie pozwoli mu dalej dochodzić po nitce do -
kłębka.

- Mój ojciec powiadał, że człowiek powinien spróbować
wszystkiego - odpowiedziała drwiąco. - I że jeśli raz coś
nam się nie spodoba, to nie trzeba tego powtarzać.

Po raz kolejny nie odpowiedziała mu jasno na pytanie, a
z jego miny wynioskowała, że jest tego świadom i że od-
kłada jeszcze ten temat na potem.

- Twoi rodzice mieszkają w Londynie?

Wciągnęła powietrze. Do diabła, czy ten człowiek nigdy
się nie odczepi?

- Nie. A twoi? W Ameryce?

- Tak. - Dobrze wiedział, że znowu się wykręciła, ale
uzupełnił: - Pod Waszyngtonem. Tato zajmował się polityką,
a teraz przeszedł w stan spoczynku.

Proszę, co za otwartość! Jeśli myślał, że odpłaci mu tym
samym, to się grubo mylił.

- To politycy w ogóle przechodzą w stan spoczynku?

- Tak naprawdę to nie. - Uśmiechnął się. - Ale on lubi
tak o sobie mówić. Są z mamą czterdzieści lat po ślubie.

Jej rodzice byli małżeństwem od trzydziestu lat. Właśnie
jutro przypadała okrągła rocznica i w związku z tym w so-
botę zamierzała ich odwiedzić. Przykre to, ale obecnie nie
była w stanie znieść więcej niż kilka godzin w ich towarzy-
stwie. Kiedyś było zupełnie inaczej. Rodzice hołubili ją -
swoją jedynaczkę. Jednakże to, co trzy lata temu zrobił Paul,
zmieniło ich wszystkich. Ojciec był cieniem dawnego siebie,
a matka - dla jej dobra - usiłowała udawać, że jest normal-
nie. Jane jednak wiedziała doskonale, jaka jest prawda, a od-

wiedziny u rodziców, obecnie rzadkie, były stresem dla obu stron.

- Należy im się medal - powiedziała ironicznie. - Trwałe małżeństwo to w naszych czasach ginący gatunek sztuki.

- Nieprawda. Jest mnóstwo szczęśliwych par. Choćby Felicity i Richard.

- Wiem. Szkoda tylko, że wcześniej tak ich nie oceniłeś. To obrzydliwe pomówienie.

- Mój błąd, ale naturalny w tych okolicznościach.

Parsknęła niecierpliwie.

- Jakich znowu „okolicznościach”?

- Mocno za nim obstawałaś.

Bo wiedziałam o tobie to, co wiedziałam, odpowiedziała w myślach. Postąpiła tak nawet nie z sympatii dla obojga Warnerów, chociaż dobrze im życzyła. Czuła, co się może stać z tą rodziną i dlatego broniła ich zaciekle przed zniszczeniem, które groziło im z jego strony.

- To typowe dla nas, Anglików. Zawsze bierzemy w obronę ludzi słabszych, kalekich.

- Nie sądzę - skrzywił się drwiąco - żeby Warnerowie myśleli o sobie w tych kategoriach.

- Widziałam się dzisiaj z Felicity. - Spojrzała na niego znacząco.

- I oczywiście opowiedziała ci o mojej umowie z Richardem. O ile się na tym znam, głowisz się teraz, do czego zmierzam. Czy zrobi ci to różnicę, jeśli nie odpowiem? To zwyczajny układ, bez żadnych kruczków.

- A co ty na tym zyskasz? - Z tego, co mówiła Felicity, wynikało, że dokładnie nic. A to nie zgadzało się z jej dotychczasowym wizerunkiem Gabriela Vaughana.

- Tyle, że będę mógł spokojnie spać - wymruczał szorstko i niechętnie.

Zerknęła na niego zaskoczona.

- Chcesz powiedzieć, że masz sumienie?

- Tak trudno w to uwierzyć?

Wzruszyła ramionami. Trzy lata temu na pewno nie uwierzyłyby w to, więc i teraz nie chciała zmieniać opinii.

- Tak - przyznała żywo.

- Zapewniam cię, mam sumienie. A tak w ogóle - zakpił - właśnie sobie uświadomiłem, że przed chwilą zgrabnie zmieniłaś temat.

Spojrzała na niego, udając, że nie wie, o co chodzi. Nie miała pewności, co dokładnie miał na myśli. Tyle było tematów, na które nie życzyła sobie z nim rozmawiać! Tymczasem Gabe odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać.

- Czy udawanie niewiniątka zawsze ci tak ładnie wychodzi?

- Przeważnie - uśmiechnęła się bezwiednie.

- Boże, Jane, jesteś śliczna, kiedy się uśmiechasz - powiedział z zachwytem. - Poza tym znowu kombinujesz, jak tu zmienić temat.

- Czyżby?

- Oczywiście. Powiedz mi, grasz w brydża?

- No... gram.

- A w szachy?

- Owszem. - Uśmiechnęła się, wiedząc, do czego - zmierza.

- Na twoje nieszczęście ja też. No, to powiedz mi jeszcze jedno: Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie - odpowiedziała bez wahania. - Od drugiego, trzeciego i dziesiątego też nie.

- Czy twoje małżeństwo było aż takie okropne?

- Na swój sposób. A twoje to co? Lepsze? Nawet ta twoja miłość... Brr!

Westchnął ciężko.

- Pozwól mi o tym opowiedzieć...

- Nie, Gabe, dziękuję. Nie chcę nic wiedzieć o twoim małżeństwie ani o żonie. Jeśli nie potrafisz uporać się psychicznie z tym, co się stało, i trzeba ci kogoś, z kim mógłbyś o tym porozmawiać, idź do psychologa albo do księdza.

- Jak mam to do diabła rozumieć - zdenerwował się. - O co ci chodzi?

- O nic - westchnęła. - Dokładnie o nic, Gabe. Po prostu nie chcę niczego się dowiadywać. Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

- Widać wolno się uczę - powiedział zamyślony, zdejmując kurtkę z oparcia krzesła. - Myślałem, że jesteś inna... I nadal tak myślę, Jane - dodał z mocą. - Nie wydaje mi się też, żebym był ci tak obojętny, jak byś może chciała. - Wsunął ręce w rękawy kurtki. - Dziękuję za jedzonko. I za rozmowę. Chcesz wierzyć czy nie, i jedno, i drugie sprawiło mi przyjemność.

Naprawdę ciężko było w to uwierzyć. Pewne chwile, ale tylko chwile, tego wieczoru były przyjemne. Nie potrafiła jednak uznać za coś sympatycznego ani pocałunków, które odebrały jej budowany latami spokój, ani rozmowy o Jennifer, która i dla niego musiała być niezbyt miła. Żałowała też, że odsłoniła przed nim tak dużo ze swojego życia.

- Dziękuję za kwiaty - powiedziała sztywno. - Bardzo cię jednak proszę, żebyś nie korzystał więcej z uprzejmości Evie. Być może ona jest romantyczna, ale ja nie.

- Masz też zamiar uświadomić ją, jak to jest z tym twoim narzeczoną z Ameryki - domyślił się cierpko. - Nie martw się. Następnym razem przyjdę tutaj dopiero wtedy, gdy sama mnie zaprosisz.

To znaczy nigdy, pomyślała, odprowadzając go do drzwi.

W progu odwrócił się i delikatnie, opuszkami palców dotknął jej bladego policzka.

- Naprawdę nie chciałem cię urazić.

Być może, ale zdążył już wstrząsnąć fundamentami jej nowego życia.

- Nie pozwoliłabym na to.

Uśmiechnął się krzywo.

- Dbaj o siebie, Jane Smith - powiedział miękko. - Bo bardzo wątpię, czy pozwoliłabyś na to komukolwiek.

Zasunęła zasuwę, nim doszedł do windy, i oparła się plecami o drzwi.

Zamknęła oczy, ale efekt był żaden. Wciąż widziała Gabe'a i siebie, budzoną jego pocałunkami z uśpienia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dom wyglądał tak samo jak zwykle. Na trawniku i drzewach leżał świeży śnieg, ale wysypana szutrem aleja dojazdowa była prawie czarna - znak, że jedno z rodziców, albo i oboje, korzystali z samochodu w ciągu kilku minionych dni.

Kochała zawsze ten dom, wtopiony pięknie w krajobraz Berkshire. Dorastała tutaj pośród pól i zieleni, w szczęściu i miłości. Jednakże teraz, gdy parkowała samochód, nie odczuwała nic z dawnego ciepła. Dawna świetność tego domu przeminęła bez śladu. Budynek wymagał odnowienia, a użytkowano wyłącznie jego główną część. Oba eleganckie boczne skrzydła były obecnie zamknięte. Samo ich ogrzewanie, nie mówiąc już o utrzymaniu w czystości i porządku, było zbyt kosztowne. Na stałe rodzice zatrudniali jedynie panią Weaver, zajmującą się kuchnią, a w weekendy, do pomocy przy większym sprzątaniu, przychodziła dziewczyna ze wsi. Kiedyś w domu pracowało pięcioro służby i trzech ogrodników. Tak było jeszcze trzy lata temu, a teraz...

Wysiadła z samochodu, zabierając ze sobą ciasto, które upiekła na rocznicę, i bukiet kwiatów. Otworzyła sobie sama frontowe dębowe drzwi i przystanęła w hallu. Położyła ciasto na okrągłym stoliku i spojrzała w głąb szerokiego korytarza, przypominając sobie wspaniały bal, który odbywał się tutaj na jej osiemnaste urodziny. Szła tym korytarzem w pięknej czarnej sukni, z rozpuszczonymi, sięgającymi aż

do pasa włosami barwy jasnego miodu. Wydawało jej się wtedy, że ma u swych stóp cały świat, i nigdy by nie pomyślała, że kilka lat później wszystko to runie i legnie w gruzach, podobnie jak jej dziewczęce marzenia o tym jedynym, wyśnionym, wytęsknionym i szczęściu po grób. Tak jak powiedziała dwa dni temu Gabrielowi Vaughanowi, obecnie nie wierzyła już w nic.

Gabriel Vaughan... Starła się o nim nie myśleć, a ponieważ miała wyjątkowo dużo zajęć, gdyż wczorajszego dnia organizowała nie tylko kolację, ale i lunch, udawało jej się to całkiem niezłe. Prawdę mówiąc, trochę się obawiała wieczoru, a raczej tego, że Gabe znów okaże się jednym z gości. Wieczór upłynął jednak bezproblemowo - podobnie jak całe dwa dni wolne od jego towarzystwa. Dziwne było jedynie to, że ta cisza po istnym bombardowaniu, jakie jej zafundował, wpływała na nią prawie tak samo rozstrajająco.

- Janette! Jesteś nareszcie - ucieszyła się na jej widok matka, gdy weszła do przytulnego saloniku z rozpalonym kominkiem. Od kiedy centralne stało się nieosiągalnym luksusem, kominki były w domu jedynym źródłem ogrzewania. Rozpalono ten tutaj i drugi w sypialni ojca.

Matka wyglądała jak zawsze pięknie. Mimo swoich pięćdziesięciu jeden lat Daphne Smythe-Roberts była wciąż tak samo szczupła i elegancka, jak za młodości. Podniosła się, żeby uściskać córkę - wysoka, zgrabna, starannie uczesana i umalowana. W ostatnim czasie ciężiej było Jane witać się z ojcem. Musiała się bardzo pilnować, żeby nie dać mu odczuć przykrości, jaką odczuwała na jego widok. Był od matki o dziesięć lat starszy, ale teraz ta różnica wydawała się większa. Oklapł fizycznie i psychicznie. Był dosłownie cieniem niegdyś żywiołowego, przystojnego mężczyzny; upadek firmy odebrał mu całą dawną witalność. Kiedy podniósł się, objął

ją i ucałował, zmusiła się do uśmiechu. Ojciec był wysoki, ale obwisłe ramiona sprawiały, że wydał się niższy. Jego gęste włosy były już nie szpakowate, a prawie białe. Przy stojną męską twarz poorly zmarszczki.

Poczucie winy... Ilekroć obecnie odwiedzała rodziców, czuła się nim dosłownie przygnieciona. Gdyby nie zakochała się w Paulu, gdyby nie wyszła za niego za męża, gdyby ojciec nie postanowił, że przekaze kiedyś firmę zięciowi i nie powierzał mu coraz odpowiedzialniej szych zadań, gdyby nie zaufał mu również w kwestiach finansowych... Gdyby! Gdyby! Zaufanie to bowiem Paul zlekceważył i zawiódł. Jako jego żona, a potem wdowa po nim, mogła jedynie odczuwać winę i rozpacz z powodu jego dwulicowości i nieuczciwości, która ograbiła rodziców ze spokoju i dostatku na stare lata.

- Pięknie wyglądasz, mała. - Ojciec odsunął ją od siebie na wyciągnięcie ramienia i patrzył na nią z dumą. Miał brązowe oczy, takie jak ona.

- Ty też.

Trzy lata temu ojciec stracił nie tylko firmę, ale i energię, dzięki której jego zakłady elektroniczne stały się jednymi z największych prywatnych przedsiębiorstw tego typu w kraju. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat poczuł się pokonany i za stary, żeby zaczynać wszystko od nowa. Zamiast podróżować po świecie, jak to sobie wcześniej planowali, gdy ojciec przejdzie na emeryturę, rodzice musieli teraz dreptać po domu i patrzeć, jak niszczeje.

Boże, jakaż czuła się winna!

- A mnie się wydajesz błada - wtrąciła z niepokojem matka. - Czy ty aby nie pracujesz za ciężko?

Poczucie winy.

Tak, rodzice też czuli się winni, choć z zupełnie innych

powodów. Życie, jakie teraz prowadziła, nie było tym, o jakim mogli marzyć dla swego jedyne go i ukochanego dziecka. Jednakże trzy lata temu ich sytuacja materialna nie pozwoliła im dać jej niczego poza moralnym wsparciem.

Obecnie powodziło jej się nieźle, robiła więc, co mogła, żeby im pomóc. Również dziś, przed wyjazdem, zaniósła do kuchni - bez ich wiedzy - wędzonego łososia, którego uwielbiała matka, kilka butelek ulubionej whisky ojca i parę innych luksusów, które nie mieściły się teraz w domowym budżecie. Jane wiedziała, że matka wie o tych wszystkich podrzucanych przez nią prezentach - bo mimo wszystko to ona zajmowała się zawsze kontrolą wydatków - ale zgodnie z niepisaną umową żadna z nich nigdy nie wspominała o smakołykach, które pojawiały się po każdych jej odwiedzinach.

- Wcale nie, mamusiu. - W tym domu nazywała się Janette, Janette Smythe-Roberts. Po ślubie przybrała nazwisko Granger, a potem, gdy wraz z obrączką porzuciła swoje dawne życie, została Jane Smith, kucharką do wynajęcia. - To tylko teraz, przed świętami... Ale nie mówmy o mnie... - Uśmiechnęła się, wybiegła do korytarza po kwiaty i wręczyła je matce. - Sto lat młodej parze!

- Ojej, córeczko, dziękujemy, jakie piękne... - Matka prawie się popłakała, widząc swoje ukochane lilie i orchidee.

- A to, tатku, dla ciebie. - Podała ojcu butelkę whisky, której tym razem nie musiała przemycać do kuchni, i nagle zauważyła, że na stoliczku we wnęce przy oknie stoją białe i herbaciane róże. Z uznaniem przeniosła wzrok na ojca. - Coś fantastycznego! Wyhodowałeś je w naszej szklarni?

W ostatnich latach hodowanie róż stało się jego hobby. Jeśli nie było go w domu, oznaczało to, że poszedł do cieplarni doglądać swych roślinek.

Dawniej cały dom był pełen kwiatów. Stały zawsze przy wejściu w dużym wazonie, w wazonikach w salonie i jadalni i w dzbanuszkach w sypialniach. Obecnie i to się zmieniło. Nie było ogrodników, którzy mogliby wyhodować tyle rozmaitego kwiecica, którym matka przystrajała dom.

- Niestety, nie. - Ojciec uśmiechnął się smutnawo. - Chociaż pewnie mógłbym. Prawda, że piękne?

Wspaniałe! Skoro jednak nie wyhodował ich ojciec, to skąd się tu wzięły? Krag przyjaciół rodziców zawęził się do kilku par związanych z nimi od ślubu. Nie chciało się jej jednak jakoś uwierzyć, żeby te róże przysłała któraś z tych osób. Kwiatów było przynajmniej pięćdziesiąt i musiały kosztować niezłą sumkę.

Nagła zmiana sytuacji materialnej rodziców wywarła zadziwiający wpływ na większość ludzi, z którymi utrzymywali stosunki. Zaczęli ich unikać, tak jakby upadek wielkiej firmy Davida Smythe-Robertsa był czymś zaraźliwym, czymś, czego trzeba się bać. A zatem... kto podarował im te róże?

- Mieliśmy wczoraj gościa. - Ton głosu matki był swobodny, lecz jej wzrok nagle się zaostrzył. - Nie wiedział, naturalnie, że to nasza rocznica - roześmiała się, unikając spojrzenia Jane. - Ale róże są rzeczywiście prześliczne.

Jane ogarnęły nagle niedobre przeczucia. On? Jaki on?! Czuła, że zaczynają się jej trząść ręce, że brakuje jej tchu, a z twarzy odpływa krew.

- Janette, co z tobą? - Matka poderwała się z miejsca i chwyciła ją za ręce.

- Wszystko przebiegło znakomicie, zapewniam cię. Pan Vaughan był u nas niedługo... Tyle że się napiliśmy herbaty. A właśnie... - dodała wystraszona, widząc, że córka zdenerwowała się jeszcze bardziej - zaraz zadzwonię po panią Weaver. Niech nam wszystkim zrobi herbaty.

- Nie! - Z ust Jane wybiegło tylko jedno słowo.

Vaughan! A zatem urzeczywistniło się najokropniejsze z jej przeczuć. To był Gabe. To on pojawił się tutaj, w jej rodzinnym domu. To on przyniósł te róże. Dlaczego? Od tamtych wydarzeń upłynęły trzy lata. Czemu nie dawał im wszystkim spokoju? Czy przyjechał tutaj napawać się efektami tego, co we dwóch - on i Paul - jeśli nawet nie wspólnie, to każdy po swojemu, uczynili jej rodzinie?

Człowiek, z którym spędzała czas w tym tygodniu, nie wydawał jej się tak okrutny, a jego postępowanie z Warnerami też nie świadczyło o okrucieństwie. Jeśli jednak nie ono nim powodowało, to co?

- Zaniosę kwiaty do kuchni, i włożę je do wazonu - powiedziała. - A przy okazji poproszę panią Weaver o herbatę. - Musiała uciec na chwilę, zastanowić się nad tym, co się stało. Nie byłaby w stanie tego zrobić w obecności rodziców.

- Janie...

- Zaraz wrócę, tatku. - Na dźwięk imienia, którym zwracał się do niej w dzieciństwie, zachciało jej się sięść i płakać. Z oczyma pełnymi łez wybiegła z pokoju i zaraz za drzwiami przystanęła i zaczerpnęła oddechu, próbując rozpaczliwie oswoić się z tym, co usłyszała od matki.

Z saloniku dobiegały do niej przyciszone głosy rodziców. Jej reakcja bardzo ich zaniepokoiła. Zazwyczaj udawało jej się trzymać nerwy na wodzy; wiedziała, że rodzice mają dość własnych kłopotów. Jednakże wiadomość o wizycie Gabe'a całkiem ją zszokowała i tym razem nie była w stanie niczego ukryć. Musiała jednak się opanować, włożyć kwiaty do wazonu, poprosić gosposię o herbatę i podać rodzicom ciasto. Należało, o ile to możliwe, zachować pozory normalności. Przecież oni nie wiedzieli o jej ponownym spotkaniu z Vaughanem.

Pani Weaver, którą przyjęto na służbę, gdy Jane była dzieckiem, jak zwykle ucieszyła się na jej widok. Porozmawiały ze sobą serdecznie i ta chwila pogawędki przy układaniu kwiatów w wazonie pomogła Jane zebrać myśli. A zatem wypiją we troje herbatę, zjedzą ciasto i wrócą do kłopotliwego tematu wizyty Gabriela Vaughana. Czuła, że wie, co im mówił. Znacznie istotniejsze było to, co oni uznali za stosowne mu powiedzieć.

Kiedy wróciła do saloniku, przyjęli z widoczną ulgą to, że jest w znacznie lepszym nastroju. Chwalili ciasto i zjedli po kawałku do herbaty, którą parę minut później przyniosła gosposia. Jane wyczuwała jednak, że wszyscy troje są napięci i oszukują czas.

- Zostaniesz oczywiście na kolacji - odezwała się wyczekując matka.

Jane uśmiechnęła się z żalem.

- Niestety, nie mogę.

- Masz zamówienie na wieczór - domyślił się ojciec. W jego posmutniałych oczach widziała cierpienie. Córka Davida Smythe-Robertsza powinna chodzić na przyjęcia, a nie być kucharką u obcych ludzi!

- Boże Narodzenie za pasem. - Wskazała świąteczną girlandę, którą już powiesili. - To dla mnie najpracowitszy czas. Westchnął ciężko.

- W cudzej kuchni nigdy nikogo nie poznasz.

Nie chciała nikogo poznawać! A poza tym jednak kogoś w takim miejscu spotkała. Gabriela Vaughana na przykład.

- Nosić za kimś welon, bardzo proszę, to mogę. Byłe nie własny - zażartowała. - Powiedźcie mi jednak... Vaughan... przywiózł wam róże, to już wiem, ale poza tym, czego chciał?

Po powrocie do saloniku rozejrzała się po całym pokoju, szukając zdjęć, które ewentualnie mogłyby ją zdemaskować

przed Gabe'em. Nie było żadnych z ostatnich lat, a jedynie kilka z dzieciństwa i jedno z zawodów sportowych, gdy odbierała medal, co jako nastolatce często jej się zdarzało. Była na nim puciołowatą dziewczynką o długich jasnych włosach. Szczerzyła się do aparatu, pokazując zęby z aparatem ortodontycznym, który nosiła prawie do szesnastego roku życia. A zatem - nie. W pokoju nie było nic, co by wskazywało, że Jane Smith oraz Janette Smythe-Roberts to ta sama osoba. W całym domu, co do tego miała pewność, nie było też ani jednej rzeczy świadczącej o tym, że była kiedyś panią Granger. Podobnie jak ona sama, rodzice zniszczyli wszystko, co mogłoby im to przypominać. Pozbyli się ich wszystkich wspólnych zdjęć. Także ślubnych.

- Prawdę mówiąc, nie wiem - odpowiedziała niepewnie matka. - Nie wydaje mi się, żeby w ogóle czegoś szczególnego chciał. Prawda, Davidzie? - Poprosiła męża wzrokiem o wsparcie.

- Prawda - przytaknął nieco za ochoczo, żeby mogło to uspokoić Jane. - Posiedzieliśmy jakąś godzinę, gawędząc sobie miło o tym i o tamtym, a potem poszedł.

Z tego, co do tej pory wiedziała o Vanghanie, raczej nie tracił czasu na miłe pogawędki!

- Oj, tato! - zaczęła zapalczywie. - Przecież ten facet przyglądał się z założonymi rękami, jak twoje zakłady padają a c potem złożył ci propozycję nie do odrzucenia. Jak mogłeś z kimś takim pić sobie po prostu herbatkę?

- Biznes to biznes, Janette - odpowiedział stanowczo, trochę w swoim danym stylu. - Co się stało, to się stało. Na szczęście większość moich ludzi nie straciła wtedy pracy, a firmę - muszę mu to przyznać - wyprowadził na czysto. Nie ma się o co czepiać.

Wcale tak nie uważała. Rodzice nie mieli wszakże pojęcia,

jak bezlitośnie trzy lata temu ją tropił. Ich również, a i owszem, wypytywał o nią, ale uznali, że naciępała się już wystarczająco i nie powiedzieli mu, gdzie jest. To był moment, kiedy i ona postanowiła kłamać. Poczucie winy zamaniestowało się w niej potrzebą maksymalnej ochrony rodziców przed nowymi smutkami. Dostyc już wycierpieli! Nie dowiedzieli się więc nigdy, że trzy lata temu Vaughan nachodził wszystkich jej przyjaciół, że przez wiele miesięcy wołała nie kontaktować się z nikim ze znajomych w obawie, że dowie się o tym i w ten sposób łatwiej mu będzie ją znaleźć. Nie mieli też świadomości, że między innymi przez niego zdecydowała się otworzyć firmę pod nazwiskiem Jane Smith. Uwierzyli, gdy powiedziała, że zdecydowała się na to, gdyż woli, żeby przyszli klienci nie wiedzieli, że mają do czynienia z Janette Smythe-Roberts. Zresztą sami przeżyli tyle upokorzeń w związku ze zmianą swojej sytuacji materialnej, że może wygodniej było im w to uwierzyć... A teraz w ich domu zjawił się Gabe...

- Sam byś sobie ze wszystkim poradził, gdyby wsparł cię wtedy finansowo, zamiast przejmować zakłady - stwierdziła z uporem.

Ojciec pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

- Vaughan jest biznesmenem, Jane, a nie instytucją charytatywną. Poza tym miałem wtedy prawie sześćdziesiątkę. Byłem za stary, żeby wskrzesić w sobie entuzjazm konieczny do tego, żeby postawić firmę na nogi.

Jane opanowała złość. Wiedziała, że jeśli chodzi o Gabe, ojciec miał do pewnego stopnia rację. Nie on jeden był winien. Główny winowajca był już poza wszelkim oskarżeniem. Za to, co stało się z zakładami ojca, i w ogóle za wszystko, co działo się przed trzema laty, ponosił odpowiedzialność Paul, jej mąż. Znowu silnie odczuła to poczu-

cie winy, które chwytają ją za gardło, ilekroć odwiedzała rodziców.

- Mimo wszystko bardzo to dziwne, że tu przyszedł - wymruczała pod nosem.

Tak dziwne - myślała w drodze powrotnej do domu - że powinna przy pierwszej sposobności dowiedzieć się, co sobie właściwie wyobrażał, odwiedzając skrzywdzonych niegdyś ludzi. Jej rodziców!

- Jane? To ty? - ucieszyła się Felicity, słysząc jej głos.
- Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

- Naprawdę?

Przez okrągłą dobę borykała się z myślą, jak najlepiej rozwiązać pewien problem. Tworzył go Vaughan. Bo kóżby inny? Tym razem chodziło jednak nie o to, jak go unikać, lecz jak się z nim spotkać w taki sposób, żeby nie wiedział, że jej na tym zależało. Nie wiedziała, gdzie wynajmuje mieszkanie ani gdzie otworzył biuro na czas pobytu w Anglii, toteż pozostała jej jedyna droga - przez Warnerów. Zatelefonowała do Felicity, żeby się z nią umówić i w czasie rozmowy napomknąć o Vaughanie.

- Naprawdę. Czuję się już o wiele lepiej i oboje z Richardem bardzo chcielibyśmy podziękować ci za pomoc.

- Nie ma za co...

- Już to mówiłaś. Tak się jednak składa, że mamy na ten temat inną opinię. Zasugerowałam Richardowi, żebyśmy zaprosili cię gdzieś na kolację, ale stwierdził, że to tak, jakby górnika ciągnąć do kopalni. Jako kobieta pozwalam sobie jednak mieć inne zdanie. Miło jest czasem dla odmiany podelektować się czymś pysznościami.

Miała rację, oczywiście. Zarabiała gotowaniem, więc wszystkim się zdawało, że jada to samo, co jej klienci. Nic

podobnego! Czasami zamawiała pizzę i to był jeden z nielicznych luksusów, na jakie sobie pozwalała.

- Piękny pomysł, dziękuję - odpowiedziała grzecznie. - Ale naprawdę nie ma potrzeby. Nie chciałabym też występować w roli przyzwoitki, kiedy gdzieś się wyrwiecie.

- Ależ co ty! Chcemy zaprosić Gabe'a, żeby było nas czworo.

Chciała się z nim zobaczyć, było to wręcz konieczne - czyż nie w tym celu w gruncie rzeczy dzwoniła - ale czy naprawdę życzyłaby sobie zasiąść razem z nim do proszonanej kolacji? Nie. Zdecydowanie nie. Pamiętała jeszcze, jak się całowali... Z drugiej strony, za tego rodzaju spotkaniem przemawiał fakt, że nie byłiby sami, nie byłoby zatem sposobności do takich ekscesów. Nie musiałyby też niczego organizować. Gospodarzami wieczoru byłiby Warnerowie.

- Jane... - Felicity ponagliła ją niepewnie.

Szybko przejrzała kalendarzyk, który zawsze leżał przy telefonie.

Do świąt brakowało tylko tygodnia; była strasznie obłożona zamówieniami. Ale lepszego rozwiązania niż spotkanie z Gabe'em na neutralnym gruncie nie można było chyba sobie wymarzyć. Co prawda, nie bardzo sobie wyobrażała, jak poruszy temat jego wizyty u jej rodziców - a raczej u państwa Smythe-Roberts! Mogła tylko mieć nadzieję, że taka okazja stworzy się sama.

- We wtorek mam jedynie koktajle - powiedziała z namysłem. - Mogłabym być wolna około wpół do dziewiątej, jeśli oczywiście odpowiadałoby to tobie i Richardowi.

No i oczywiście Gabrielowi Vaughanowi, bo gdyby jego miało nie być, to cały wieczór - z jej punktu widzenia - byłby kompletną stratą czasu. Nie o to chodzi, że nie doceniała zaproszenia Warnerów ani ich wdzięczności. Po prostu - by-

ło tyle innych rzeczy, które mogłaby robić we wtorkowy wieczór. Na przykład... choć kilka godzin odpocząć.

- Wspaniale! - zgodziła się natychmiast Felicity. - Zarezerwujemy stolik u Antonia. Czy mamy po ciebie przyjechać? Albo może Gabriel?

- Spotkamy się już w restauracji - zaproponowała szybko, dobrze znając popularną włoską knajpkę. - Nie będę mogła wyjść, zanim goście nie rozjadą się do teatru, i nie gwarantuję, że będę superpunktualna.

Nie miała zamiaru - choćby miłej Felicity nie wiem jak podobało się swatanie - występować podczas tego wieczoru w charakterze partnerki Gabe'a i nie chciała sprawiać takiego wrażenia, przyjeżdżając do restauracji razem z nim.

- Najważniejsze, żebyś w ogóle dotarła. W takim razie do zobaczenia we wtorek - odpowiedziała wesoło Felicity Warner i wyłączyła się.

Jane odłożyła słuchawkę o wiele wolniej. Stało się zgodnie z jej życzeniem - miała się zobaczyć z Gabrielem Vaughanem. Nigdy by nie pomyślała, że przyjdzie taki czas, kiedy będzie jej na tym zależało.

Miała tylko nadzieję, że nie będzie tego żałowała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy krótko po wpół do ósmej weszła do restauracji, powitał ją sam Antonio. Na jej widok, uradowany, wyszedł z kuchennego zaplecza. Spóźniła się, ponieważ zmywanie po koktajlu przeciągało się, a potem musiała się przebrać. Na szczęście zabrała do pracy czarną sukienkę i pantofle na zmianę, więc nie musiała wracać do domu.

Antonio był jej dobrym znajomym. Dwa lata temu nie miała większego pojęcia o przyrządzaniu makaronów, poszła więc po naukę do prawdziwego znawcy. U jego boku, w kuchni tej restauracji, spędziła cały miesiąc i chociaż znała niepochlebne opinie na temat pełnych temperamentu włoskich kucharzy - a Antonio temperament miał zaiste ognisty! - czuła się tutaj fantastycznie.

Ucałowali się na powitanie z dubeltówki.

- Jestem umówiona z państwem Warner...

- I z panem Gabrielem Vaughanem. - Błysnął kpiąco brązowymi oczyma.

A zatem Gabe był. Od niedzielnego telefonu nie rozmawiała ani z Felicity, ani z Richardem, nie wiedziała więc, czy przyjął zaproszenie.

- I z panem Gabrielem Vaughanem - powtórzyła chłodno. - Przestań się głupio uśmiechać. To interesy.

No, może niezupełnie, ale przyjemność też nie; w każdym razie nie to, co sobie wyobrażał.

- Oj, Jane! Ty zawsze tylko o jednym. Interesy i interesy!

- Zamachał żywo rękami. - Co prawda, nie pamiętam, żebyś do pracy u mnie przychodziła tak ubrana! - Spojrzał na nią z zachwytem. Czarna dopasowana sukienka podkreślała świetną figurę i odsłaniała długie, kształtne nogi. W rozpuszczonych włosach i z leciutkim makijażem było jej bardzo do twarzy.

Fakt, do pracy u Antonia nigdy się nie stroiła.

- Zaprowadź mnie do stolika - poprosiła.

- Z największą przyjemnością. - Szarmancko podał jej ramię. - Dziś jesteś tu gościem.

Eskorta przystojnego szefa restauracji zwróciła na nią powszechną uwagę, co zupełnie nie odpowiadało jej skromnej naturze. Nie śmiała nawet podnieść oczu i spojrzeć na trójkę wpatrzonych w nią znajomych, świadoma, że kiedy Antonio elegancko odsunął dla niej krzesło, obaj panowie wstali.

- Jest mi nadzwyczaj miło znów cię widzieć - powiedział Antonio, całując ją w rękę z diabelskim błyskiem w oczach, po czym odwrócił się i zawiadackim krokiem przeszedł przez salę i zniknął na zapleczu.

A to czort, pomyślała Jane z serdeczną irytacją, czując, że palą ją policzki.

- Towarzystwo wzajemnej adoracji? - usłyszała znajomy głos.

Odwróciła spokojnie głowę i napotkała kpiące spojrzenie przejrzystych, niebieskich oczu. Miała nadzieję, że nie dostrzegł zdenerwowania, jakie ogarnęło ją na jego widok.

- Tak się składa, Gabe - odpowiedziała swobodnie. - Po dziwiłam Antonia jako szefa kuchni, a myślę, że on też mnie ceni.

Zerknęła na niego wojowniczo i... o matko, był taki elegancki, że aż wstrzymała oddech. Korzystając z pretekstu, że trzeba położyć serwetkę na kolana, schowała szybko obie

ręce pod stół, żeby nikt nie zauważył ich drżenia. Spotkanie z Gabe'em, wszystko jedno w jakich okolicznościach, było z jej strony błędem.

- Witam was - zwróciła się serdecznie do Warnerów. - Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie.

- Cała przyjemność po naszej stronie - zapewnił ją Richard.

- Do głowy by mi nie przyszło, że znasz Antonia... - Felicity uśmiechnęła się zaintrygowana.

Jane odwzajemniła uśmiech, przez cały czas czując na sobie wzrok Gabe'a. Czy nikt mu nigdy nie mówił, że takie wgapienie się jest niegrzeczne? Pewnie i mówił, tyle że, o czym wiedziała aż nadto dobrze, Gabe konwenanse miał za nic i robił dokładnie to, co chciał. A w obecnej chwili, bez względu na to, jak bardzo mogło ją to żenować, chciał na nią patrzeć, i już!

- Pracowałam tutaj przez pewien czas - wyjaśniła, bo jaki sens miałoby ukrywanie prawdy. Zarabiała na życie pracą i chociaż rodzice boleli z tego powodu, był to niezaprzeczalny fakt. - Tutaj też - zaśmiała się ciepło - nauczyłam się kryć przed latającymi talerzami, garnkami itp. Nie powiem, żeby cierpliwość była główną zaletą Antonia...

- Ma chłop temperament, co? - wtrącił Gabe.

Jeszcze raz spokojnie odbiła jego spojrzenie.

- Nie on jeden, jak sądzę.

- Mówisz oczywiście o zachowaniu w kuchni.

- Oczywiście.

Gabe roześmiał się i pokręcił głową.

- Wcale nie to miałaś na myśli, ale nieważne. Miło cię znowu widzieć, Jane - dodał z przekorą.

Nie umiałyby tak jednoznacznie określić uczuć, które budziła w niej jego obecność. Czuła mocniejsze bicie serca,

a zarazem w głębi duszy czaił się strach. Nie miała pojęcia, jakie wnioski nasunęły mu się podczas wizyty w jej rodzinnym domu. Może żadne, a może...

- Kwiaty się trzymają? Czy też oddałaś je pierwszej lepszej osobie zaraz po moim wyjściu?

Zerknęła stremowana na Felicity i Richarda, ale oboje studiowali zawzięcie kartę dań, a przynajmniej z pozoru tak to wyglądało. Jane miała jednak absolutną pewność, że Felicity nadstawia uszu, żeby nasycić swą sentymentalną duszyczkę. A co do kwiatów, to w pewnej chwili nie miała pewności, czy Gabe'owi chodzi o bukiet подарowany jej, czy o róże dla rodziców. Całe szczęście, drugie pytanie rozwiąło wątpliwości.

- Byłby to chyba szczyt złych manier - Odpowiedziała zimno. - Zwłaszcza jeśli uwzględnić trud, jaki sobie zadałeś, żeby mi je wręczyć.

- Jaki tam trud! - Zaśmiały mu się oczy. - A poza tym dostałem kolację!

Czort!

Wydawało jej się, że oddaje mu wet za wet, ale uśmiech, jakim Felicity skwitowała jego ostatnie stwierdzenie, uświadomił jej, że tę rundę zdecydowanie wygrał on.

- O ile sobie przypominam - powiedziała drwiąco - napraszałeś się z pomocą.

- Wspólne pitraszenie jest takie przyjemne! - wtrąciła Felicity Warner, która najwyraźniej uwielbiała atmosferę takich rozmów i półsłówek. - My też to lubimy, prawda, kotku? - zwróciła się zalotnie do męża.

- O tak - uśmiechnął się znad karty..-I nie zrezygnujemy z tych przyjemności, o ile tylko twój stan na to pozwoli - zażartował czule.

Felicity zarumieniła się.

- Mówiłam o przyjemnościach stołu, a nie... - urwała ze śmiechem.

Jane była autentycznie oczarowana aurą, która emanowała od tych szczęśliwych małżonków. Felicity miała mniej więcej tyle samo lat, co ona, a los dał jej wspaniałego męża, który nie krył się z uczuciem dla niej, dwie śliczne córeczki i trzecie dziecko w drodze. Kiedyś też o wszystkim tym marzyła. Przez pewien czas wydawało jej się nawet, że znalazła swoje szczęście. Ale tamte marzenia okazały się takie ulotne... Nagle uzmysłowiła sobie, że na jej twarzy maluje się wyraz tęsknoty, a w dodatku Gabe zauważył to i uważnie się jej przygląda.

- Zamawiamy? - Uśmiechnęła się do Vincenza, znajomego kelnera, który, przechodząc obok ich stolika, mrugnął do niej po przyjacielsku.

Uśmiech ten zniknął od razu, gdy zobaczyła minę Gabe'a. Ani trochę nie podobały mu się te poufałości. Ciekawe. Czego się właściwie spodziewał? Miała dwadzieścia osiem lat, a to, że przeżyła wielki zawód, nie oznaczało, że mężczyźni nie mieli ochoty z nią poflirtować. A on sam, to co? Czy od początku nie robił tego samego? Tyle że jego zdaniem - i o tym świadczyła ta zde gustowana mina! - jemu było wolno, a innym nie. Nie miało to większego sensu. Mężczyźni na ogół lubią sobie poflirtować, co wcale nie oznacza, że zależy im na czymś więcej. Vincenzo był tego doskonałym przykładem. Miał żonę i bardzo ją kochał, nie mówiąc o tym, że gdyby sobie pozwolił na jakiś skok w bok, Anna sprząłaby go pewnie na kwaśne jabłko.

Widząc, że kelner zwraca się do Felicity z taką samą żartobliwą miną, jak wcześniej do Jane, Gabe rozluźnił się nieco, a kiedy uchwycił jej drwiące spojrzenie, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, mój błąd”. Nie

pierwszy i nie jedyny, pomyślała zirytowana. Bo przede wszystkim nie miał prawa być zazdrosny. Bukiet kwiatów i domowa kolacja na pewno go do tego nie uprawniały.

Najistotniejsze jednak, że w miarę upływu czasu Jane uświadamiała sobie coraz lepiej, że nie ma jak poruszyć tematu wizyty Gabe'a u rodziców. Temat był zbyt delikatny, żeby dało się go wprowadzić niby to przypadkiem, zwłaszcza że nawet na pytania Felicity o interesy w Anglii odpowiadał nader zdawkowo.

- Przyjechałeś samochodem? - zapytał go Richard, gdy szykowali się do wyjścia. - Czy może mamy cię podwieźć?

- A może odwiozłaby mnie Jane? - Patrzył na nią. - Za-uważyłem, że wypijaś zaledwie pół kieliszka, domyślam się więc, że masz tu swego vana. Ja przyjechałem taksówką.

Domyślny się znalazł! No tak, ale gdyby odwiozła go do domu, to może przy sposobności... Ech tam! Po co się oszukiwać? I tak nie umiałyby zahaczyć w rozmowie o „niejakich Smythe-Robertsów”...

- Naturalnie, odwiozę cię - powiedziała bez entuzjazmu, bo w gruncie rzeczy nie miała wyboru. - Bardzo wam dziękuję - zwróciła się do Warnerów. - To był dla mnie przemiły wieczór.

- Jane! - Po raz drugi tego wieczoru Antonio wybiegł z kuchni. - Mam dla ciebie dwa nowe wspaniałe przepisy - powiedział, obejmując ją i ściskając na do widzenia. - Wpadnij w wolnej chwili. Przyjdiesz?

Obiecała mu odwiedziny, wyjaśniając, że musi je odłożyć na po Nowym Roku, gdyż jest teraz ogromnie zapracowana. Miała świadomość, że przez cały czas Gabe przysłuchuje się ich rozmowie ze sceptyczną miną.

- Przepraszam, że musiałeś czekać - powiedziała, gdy po

pożegnaniu z Warnerami szli w stronę jej samochodu. - Antonio i ja przyjaźnimy się od dawna.

- Już to mówiłaś. „Wpadnij, mam dla ciebie przepisy”. To on cię podrywa na przepisy?

Kiedy wsiedli, spojrzała na niego kwaśno.

- Antonio jest żonaty!

- A ciebie nie interesują cudzy mężowie - odciął się cierpko.

- W żadnym wypadku - przyznała sztywno, włączając silnik i ogrzewanie. Na dworze było przenikliwie zimno, chociaż śnieg zdążył już zniknąć. - Nigdy nie skazałabym żadnej kobiety na takie cierpienie.

- Jak to dobrze, że nie jestem już żonaty!

Nie odezwała się, niezupełnie pewna, co chciał przez to powiedzieć, ani czy rzeczywiście chciałyby to wiedzieć. Ten człowiek miał tyle cech przemawiających przeciwko związaniu się z nim, za tyle spraw miała prawo go nie znosić, że to, czy był żonaty, czy nie, przesuwano się gdzieś na sam koniec.

- A może byłbyś łaskaw powiedzieć, dokąd mam cię zawieźć.

- Do Mayfair.

Gdzieżby indziej. Zawsze wybierał to, co najlepsze. A hoteli nie lubił, no skądże! Bo są bez wyrazu.

- Dzwoniłem do ciebie przez cały weekend.

Zerknęła na niego kątem oka i natychmiast znowu skupiła się na jeździe. Nie nagrał się na automatyczną sekretarkę; przegrywała taśmę, ale nie znalazła nic od niego. Tyle że, o czym wiedziała, nienawidził tego, jak mówił, „przekłętęgo” urzędnika. Wzruszyła ramionami.

- Mówiłam ci, że przed świętami ciężko mnie złapać.

- Ale ja dzwoniłem też w sobotę po południu. Pomyślałem, że jeśli zechcę czekać, aż ty się odezwiesz, to mogę tak

czekać do śmierci i spotkamy się... jeśli w ogóle przyjdiesz... na moim pogrzebie.

Ho, ho, mocno powiedziane. A w sobotę po południu była u rodziców...

- Wyjeżdżałam za miasto - powiedziała swobodnym tonem, choć poczuła, że jej serce bije jak szalone. Nadarzała się być może jedyna okazja, żeby spróbować. - Byłam w Berkshire. U państwa Smythe-Roberts... obchodzili trzydziestą rocznicę ślubu - dokończyła niemal bez tchu.

- Znam ich. - Kiwnął lekko głową. - Nie wiedziałem, że pracujesz również w soboty. Rzeczywiście, masz masę roboty - powiedział z przekąsem i dodał: - Skręć w lewo, o tutaj, dobrze. To ten blok z prawej strony.

„Znam ich”. Zahaczyła wreszcie o temat, który ją interesował, i miało się skończyć na lakonicznym „znam ich”? To przecież nieprawda, że ich jedynie znał. Był u nich z wizytą dzień przed nią, zawiózł im róże; czy naprawdę nie było o czym mówić? Tak się przejęła perspektywą, iż temat się rozmyje, że przejeżdżając na drugą stronę ulicy, o mało nie zderzyła się z jaguarem jadącym sąsiednim pasem. Nie, postanowiła. Nie popuszczę.

- Co za zbieg okoliczności - powiedziała.

Twarz Gabe'a w świetle ulicznej latarni była zupełnie nieprzenikniona.

- Masz na myśli to, że wynajmuję mieszkanie w Mayfair? Znasz tu kogoś?

A gdzie tam! Jej niegdysiejsi przyjaciele bywali w takich kręgach i w takich dzielnicach, ale stało się z nimi to samo, co z przyjaciółmi rodziców. Straciła ich tak, jak dawną siebie. Czy Gabe usiłował być złośliwy? Chyba jednak nie. Najwyraźniej po prostu się zdziwił.

- Chodziło mi o to, że znasz państwa Smythe-Robertsów.

- Znam to za dużo powiedziane. Znacznie lepiej znałem ich córkę.

Popatrzyła na niego, czując, że dosłownie sztywnieje. Przed trzema laty nawet się osobiście nie poznali, jak więc mógł twierdzić, że ją znał...

- Córkę? - Zmusiła się do swobodnego tonu, chociaż kosztowało ją to bardzo wiele. - Nie widziałam jej, gdy byłam u nich w sobotę.

Pewnie, że nie widziała. Nie przeglądała się tam w lustrze.

Nienawidziła kłamstwa - ani u siebie, ani ir innych - ale miała świadomość, że będzie teraz musiała naginać prawdę do swoich potrzeb.

- Nie dziwi mnie to - odparł niechętnie, zwracając się w stronę budynku, w którym mieszkał. - Może chciałabyś wstąpić na strzeziennego?

Czy chciała? Nie. Naprawdę nie. Jeżeli jednak zależało jej na kontynuowaniu tej rozmowy...

- Chętnie, ale na kawę.

W gruncie rzeczy na kawę też nie miała ochoty, gdyż po wypiciu jej o tak późnej porze nie mogłaby zasnąć. Jednakże chęć dowiedzenia się, dlaczego Gabe'a nie dziwiło to, że Janette Smythe-Roberts nie zjawiła się na trzydziestej rocznicy ślubu własnych rodziców, była silniejsza.

- Zrobić ci bezkofeinową? - zapytał, gdy weszli do mieszkania i zapalił przyćmione światło.

- Tak, proszę. - Idąc za nim do kuchni, czuła ogarniającą ją niepewność.

Mieszkanie było przepiękne. Wszędzie stały antyki, a ściany obite były tapetą wyglądającą jak najprawdziwszy brokat. Zawsze ma to, co najlepsze, pomyślała znowu ze złością.

- Mam rozumieć, że romansowałeś z córką Smyrhe-Robertsów? - zażartowała.

Wiedziała doskonale, że żadnego romansu nie było, ale musiała jakoś brnąć, jeśli w ogóle chciała się czegoś dowiedzieć.

- Też coś! - Ledwie na nią zerknął, parząc kawę. - Rozpieszczone, bogate panienczki nigdy nie robiły na mnie wrażenia.

Że co proszę?! W spojrzeniu, jakie w niego wycelowała, było tyle niechęci i zdumienia, że dobrze, iż właśnie odwrócił się plecami. To prawda, że rodzice hołubili ją w dzieciństwie i później, ale małżeństwo z Pauliem odebrało jej i im wszystko. Na dalsze psucie i rozpieszczanie nie było pieniędzy. Wizyta w Berkshire musiała mu to dokładnie uświadomić.

- Państwo Smythe-Roberts nie wydali mi się specjalnie bogaci.

- Mnie też nie. - Postawił filiżanki na bufetowym blacie. - Trzy lata temu jednak w ich domu aż się od wszystkiego przelewało; wiem o tym, bo kupiłem od Davida Smythe-Roberts'a jego zakłady. Mogę się więc jedynie domyślać, że córeczka nieźle ich załatwiła.

Patrzyła na niego bez słowa, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak myśli.

Że uciekła z pieniędzmi i zostawiła rodziców na pastwę losu w warunkach, które w porównaniu z niegdysiejszym dobrobytem były pospolitą biedą? Czy nie wiedział o długach, które musieli spłacić? O tym, że Paul uprawiał hazard i dla swych niecznych potrzeb wyciągał pieniądze z kont firmy ojca? Pod koniec i tego mu było mało. Zaciągał długi, które po jego śmierci przeszły na nią. Spłacił je ojciec z pieniędzy, które otrzymał za ograbione zakłady. Bardzo się wtedy pochorowała i rodzice uznali, że dość się już nacierpiała przez Paula Grangera. Kiedy odzyskała zdrowie, było za późno, by działać na własną rękę. Ojciec wszystko pozałatwiał. Z całego tego tragicznego zamętu w ich życiu pozostawała...

stała jedynie świadomość zniszczenia oraz... potrzeba zemsty, która rosła w sercu Gabriela Vaughana - a mścić mógł się jedynie na niej, na wdowie po Paulu Grangerze. Działo się tak dlatego, że wypadek, w którym zginęła żona Gabe'a, nastąpił dokładnie tego dnia, kiedy zdecydowała się odejść od niego, a człowiekiem, dla którego to zrobiła, był Paul.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jane oblizwała spierzchnięte usta.

- Chcesz powiedzieć, że ta ich córka...

- Janette Smythe-Roberts, a raczej Janette Granger, bo takie nazwisko ma po mężu - odpowiedział skwapliwie.

- A zatem twoim zdaniem rodzice dali jej wszystko, co mieli, a sami zostali bez...

- Bez grosza przy duszy. Dokładnie. Tak to przynajmniej wygląda. Mówią, że wyjechała za granicę. Piękna dziewczyna... W życiu takiej nie widziałem...

- Daj spokój, Gabe.

Uśmiechnął się, słysząc, jak się zachnęła.

- W porządku. Będę się streszczał, ale fakt pozostaje faktem. Janette Smythe-Roberts miała śliczną twarz, piękną figurę, a takich precudownych złotych włosów, jak jej, nigdy już nie widziałem! Pomyśleć tylko - zasepił się nagle - że cała ta uroda służyła jedynie za maskę. Masz pojęcie, co ta egoistka zrobiła, kiedy jej mąż zmarł, a ojciec stracił firmę? Oczywiście nie wiesz. - Pokiwał złośliwie głową. - Nic ją to wszystko nie ruszyło. Zamiast przywdziać żałobę, zamiast okazać ojcu wsparcie, zniknęła. Że rozstap się ziemia!

Jane była głęboko poruszona taką interpretacją swego zniknięcia ludzom z oczu. Jednakże trzy lata temu miała prawdziwe powody po temu, żeby nie uczestniczyć w skandalu towarzyszącym śmierci swego męża i żony Gabe'a w wypadku i dać się chronić rodzicom. Podobnie jak teraz

Felicity Warner, była w ciąży. Kiedy dowiedziała się o zdradzie Paula, o tym, że okradał firmę ojca, by przepuszczać krociowe sumy w kasynie, że nosi się z zamiarem porzucenia jej, poroniła. Straciła dziecko, którego tak bardzo pragnęła, a życie jej samej wisiało na włosku.

Czy to był ten egoizm Janette Smythe-Roberts, o którym mówił Gabe?

Zresztą, wcale nie „zniknęła”, jak twierdził. W okresie największego zagrożenia przebywała w prywatnej klinice. Potem, gdy niebezpieczeństwo minęło, wyszła stamtąd, ale nie wróciła ani do domu, w którym żyła z Pauliem, ani nawet do rodziców, a zamieszkała w wynajętym domku w Devon, z dala od wścibskich oczu. Gabe miał prawo do własnych interpretacji. Ale mylił się, bardzo się mylił.

- Czy w naszych czasach można tak zupełnie zniknąć?
- powiedziała z powątpiewaniem.

- Co roku znika mnóstwo ludzi. - Wzruszył ramionami.
- A Janette ukryła się tak znakomicie, że od tamtego czasu nikt jej nie widział.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- A jednak...

- Nikt nie próbował jej odszukać?

Skrzywił się.

- Trzy lata temu wydawało mi się, że potrafię jej pomóc, ale myliłem się.

- Nie rozumiem. - Nie musiała udawać zaskoczenia. Pomóc? Jak to? W tamtym okresie Gabe nie przychodził do ich domu z prezentami. - Mówiłeś, zdaje się, że nie byłeś z nią związany. - Chciała, żeby zabrzmiało to żartobliwie, a miało ton oskarżenia.

- Nie byłem. - Skrzywił się znowu i lekko dotknął jej ręki. - Czyżbym słyszał w twoim głosie nutkę zazdrości?

Jak mogła być zazdrosna o samą siebie? Odsunęła rękę jak oparzona.

- Nie bądź śmieszny! - odburknęła wstając. - Czas na mnie.

- Żartowałem tylko... Oj, Jane! - Roześmiał się i podniósł się również. - Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów rozmawiamy od dłuższego czasu o kobiecie, której nawet nie znasz i której ja nie widziałem od trzech lat. - Ściągnął brwi. - A tak nam było dobrze!

Tak to odczuwał, być może. Ale ona przez całą wieczór nie mogła się doczekać właśnie tego, o czym rozmawiali dopiero od kilkunastu minut. W pewnym sensie miał jednak rację. Rozmowa o Janette Smythe-Roberts i jej rodzicach zakłóciła nastrój swobodnego, przyjemnego wieczoru. Zaskakująco przyjemnego. Chociaż... Tam, u Antonia, Warnerowie byli wyluzowani, a Gabe uroczy dla wszystkich. Kiedy jednak teraz spojrzała na niego i spostrzegła, że wesoły błysk w jego oczach zmienia się w coś znacznie groźniejszego, zrozumiała, że żarty się skończyły i że dociera to do niej za późno.

- Nie, Gabe... - Umknęła mu ustami.

- A właśnie, że tak. - Objął jej twarz dłońmi i pocałował delikatnie najpierw oczy, później nos i policzki, a na koniec znowu usta. Właśnie ta delikatność zupełnie ją rozbroiła. Gdyby żądał, a nawet gdyby czuła w nim głównie pożądanie, opierałaby się, ale on po prostu pieścił jej wargi czułymi, delikatnymi muśnięciami.

- Chyba nie było tak źle? - powiedział cicho, opierając czoło o jej czoło.

- Nie... Źle nie - wyszeptła zduszonym głosem. Tak naprawdę było jej aż za dobrze. Marzyła, żeby jeszcze, jeszcze...

Uśmiechnął się.

- Długo będziesz się tak przede mną chować, Jane?

Nagle zahuczały w jej głowie dzwony, oddech uwiązł w krtani, poczuła, że drętwieje.

- Nie ukrywam się przed tobą - warknęła gniewnie, gwałtownym ruchem wymykając mu się z ramion.

- Nie powiedziałam, że się ukrywasz - zaakcentował miękko.

Przemogła ucisk w gardle, starając się przypomnieć sobie każde słowo, które wypowiedział. Istotnie, nie określił tego dokładnie tak, ale...

- Ani przed tobą, ani w ogóle przed nikim - powtórzyła niemal z nienawiścią.

- Źle mnie zrozumiałas, absolutnie niewłaściwie.

Czyżby? Kilka minut temu mówił jej o Janette Smythe-Roberts, o tym, że trzy lata temu zniknęła bez śladu, a teraz pytał, czy sądzi, że długo jeszcze uda jej się chować. Jak inaczej miała to rozumieć? Dla niej - dla Janette Smythe-Roberts - wniosek mógł być tylko jeden, ale skoro ani teraz, ani przedtem nic nie wskazywało na to, że ją rozpoznał, może mimo wszystko zaszła w swoich podejrzeniach za daleko.

- W takim razie bądź łaskaw wyjaśnić, o co ci chodziło.

Wzruszył ramionami. Na jego zmysłowych wargach błąkał się uśmiech.

- O twój stosunek do życia. Schować się w kuchni, i cześć.

- Nosić za kimś welon, byle nie swój własny na głowie - dopowiedziała mniej więcej to samo, co kilka dni temu w rozmowie z ojcem. Alarmowy dzwonek w głowie brzmiał jeszcze, ale nieco ciszej.

- Dokładnie. - Kiwnął głową rozweselony. - Jeśli będziesz się chować po kuchniach innych kobiet, możesz się nigdy nie doczekać własnej.

- Mam już własną - rzuciła ironicznie. - Sam widziałeś.
- Nie zgrywaj się. Chodzi mi o to, że...
- Wiem, o co ci chodzi, Gabe - ucięła lekceważąco. -
Tyle że ty zakładasz, że ja chcę mieć coś zupełnie innego niż mam. A mnie wystarczy to, co jest. - Sięgnęła po torebkę.
- Wielkie dzięki za kawę.

- I żegnaj. Jak zwykle - dodał z irytacją.
Zerknęła na niego. Zabójczo przystojny, pociągający, że aż strach.

No właśnie!

- Dokładnie. Tylko że do tej pory nie chciałeś tego pojąć.
- A ty? Jesteś przekonana, że to by ci odpowiadało?
- Jak najbardziej. Ty...
- Jane, muszę ci coś wyznać - przerwał żywo.
- Na przykład co?

Westchnął.

- Nie mam pewności, czy ty i Felicity jesteście sobie bardzo bliskie, ale...

- Mówiłam ci już, że niespecjalnie. Ani z nią, ani z jej mężem nic mnie właściwie nie łączy. Po prostu nie lubię patrzeć, jak się komuś dzieje krzywda.

- To już wiemy. - Kiwnął żartobliwie głową. - Myślę jednak, że powinnaś się dowiedzieć... na wypadek gdyby Felicity uznała kiedyś, że ma obowiązek ci to wyjawić, że... tak naprawdę to autorem pomysłu, żeby spotkać się we czworo, byłem ja. Rozmawiałem o tym z Richardem w czasie weekendu.

Normalnie, słysząc o tych wszystkich ustaleniach za jej plecami, po prostu by się wściekła, ale w tej sytuacji trudno było się nie uśmiechnąć. Łamała sobie głowę, co tu zrobić, jak doprowadzić do ponownego spotkania, a okazywało się, że oto zakręcił się wokół tego sam.

- Zawsze wszystko jest po twojej myśli, prawda? - powiedziała niechętnie. - No więc, w porządku. Zjedliśmy tę kolację, a teraz musimy już iść.

- A czy moglibyśmy chociaż powiedzieć sobie „dobranoc” zamiast „żegnam”? „Zegnam” jest takie zimne, takie ostateczne, a „dobranoc” pozwala wierzyć, że się jeszcze spotkamy.

Jane z trudem powstrzymała się od śmiechu. A to cyrk! Ten facet był naprawdę niemożliwy!

- Dobranoc, Gabe - bąknęła pod nosem.

- No i co? Takie to trudne? Chyba nie. - Odprowadził ją do drzwi, obejmując lekko za ramiona. - Jedź ostrożnie.

Nie musiał jej przypominać o potrzebie ostrożnej jazdy. Nigdy nie jeździła inaczej. Aż za dobrze wiedziała, jak nietrwałe jest szkło i blacha. Szkło rozpryskuje się w drobny mak, blacha wgniata się i wygina. Zostaje skrzywiony wrak, z ludzi zmasakrowane szczątki. Trzy lata temu nie ona pojechała zidentyfikować ciało Paula. To straszliwe zadanie wzięła na siebie ojciec. Zaraz po tym, jak dowiedziała się o wypadku, odwieziono ją do kliniki. Po poronieniu dziecka, które nosiła pod sercem zaledwie dziesięć tygodni, była bliska obłądu.

Zaszła w ciążę chyba w najgorszym okresie małżeństwa. Paul był wtedy w domu rzadkim gościem, a to, że zniknął na długo, przestało ją już właściwie obchodzić. Prawdę powiedziawszy, czuła nawet ulgę. Kiedy jednak badania wykazały, że jest w ciąży, ucieszyła się. Pragnęła tego dziecka z całej duszy i myślała, że może teraz ich małżeństwo zostanie uratowane. Paul jednak szybko pozbawił ją złudzeń, oświadczając, że odchodzi z Jennifer Vaughan.

I odszedł. Tego samego dnia zginęli oboje w wypadku. Rozbili się, jadąc jego BMW. Jane załamała się wtedy ner-

wowo. Gazety prześcigały się w tropieniu skandalu. W morzu spekulacji na ich łamach ukazywały się obok siebie zdjęcia -jej, jako żony Grangera i Gabriela Vaughana jako męża Jennifer. Nie potrafiła wtedy sobie z tym poradzić. Dopiero "po kilku tygodniach dotarło do niej, że Vaughan jej szuka. Tłumaczyła to sobie w jedyny sensowny dla niej sposób - poszukiwał jej, ponieważ winił ją za romans żony z Pauliem. Właśnie wtedy uznała, że jeśli kiedykolwiek ma odbudować swoje życie, Janette Granger musi zniknąć, i to nie na kilka miesięcy, przez które ze względów zdrowotnych była i tak wyłączona, ale na zawsze. No i zniknęła. Nie zniknął jednak strach przed Vaughanem. Nie, nie przed tym człowiekiem, który droczył się z nią, całował i którego aż za łatwo było lubić. Bała się tego, który w ubiegłym tygodniu wybrał się z wizytą do jej rodziców i z taką łatwością mówił o egoizmie Janette Smythe-Roberts. I chociaż ta ostatnia zniknęła ponoć bez śladu, Jane uznała, że lepiej tego strachu nie lekceważyć.

- Hej, hej! Miło pobiegać w taki śliczny poranek.

Pojawił się u jej boku nagle. Zachwiała się lekko, lecz pobiegła dalej, nie zmieniając tempa. Ranek był rzeczywiście przepiękny. Wstawał jeden z tych jasnych, rześkich dni, jakie tak często zdarzają się w Anglii w połowie grudnia. Tyle że odczucie piękna zostało dziś zamącone nieoczekiwanym pojawieniem się Gabe'a. O siódmej rano, w jej parku! Niesamowite!

Biegli w milczeniu. Uparła się, że nie pozwoli sobie odebrać tej codziennej przyjemności, tych chwil wolnych od kłopotów. Gabe bez problemu dotrzymał jej kroku, mimo że pół życia musiał spędzić za biurkiem.

- Kiedy jestem u siebie, też biegam - odezwał się, jakby

czytał w jej myślach. - A na wyjezdny staram się *znaleźć* jakąś salę, gdzie można potrenować.

Powinna była się tego domyślić. Ludzie wiecznie siedzący za biurkiem nie miewają takich szerokich barów, muskularnych nóg i płaskiego brzucha.

- Jestem zachwycona - odburknęła i biegła dalej, nie rozglądając się na boki.

Ani przez moment nie sądziła, że jego obecność tutaj jest przypadkowa.

W ubiegłym tygodniu powiedziała mu, że biega niedaleko swego domu, a ponieważ wiedział już, gdzie mieszka, zlokalizowanie parku nie przedstawiało żadnych trudności. Zaskakujące było jedynie to, że czekał na nią.

O siódmej rano.

- Kiedy tu na ciebie czekałem, kilka osób przyglądało mi się z niejakim zainteresowaniem. - Znowu odczytał jej myśli.

Mogła to sobie wyobrazić. O tej porze przewijali się tutaj jedynie bezdomni, którym udało się znaleźć na noc ławkę i okupować ją do rana, oraz podobni jej zapaleńcy, trenujący przed pójściem do pracy. Ktoś taki jak Gabe, w nowych firmowych adidasach, spodenkach i markowej koszulce, nie mieścił się ani w jednej, ani w drugiej kategorii osób.

- Wcale mnie to nie dziwi - wyskandowała biegnąc.

Rankami było tu przecudnie. W gałęziach drzew śpiewały ptaki, zagłuszając odgłosy budzącego się ruchu ulicznego. Normalnie ta pora dnia napełniała ją przeogromną radością, ale dziś tę radość głuszyła obecność Gabe'a.

Obiegli park i Jane zatrzymała się w bramie. Była zdrowo spocona, piersi pod białą kamizeleczką unosiły się w miarowym oddechu.

Gabe oddychał znacznie ciężiej. Łapał ustami powietrze.

Bieg kosztował go zatem więcej wysiłku, niż skłonny był przyznać.

- No więc dobrze. - Spojrzał na nią z lekką irytacją. - Nie znalazłem sobie jeszcze sali gimnastycznej. Od dwóch tygodni nie robię nic, tylko poluję na najbardziej nieuchwytną kobietę, jaką znam.

Jane znieruchomiła.

- Na panią Granger?

- Na ciebie! - sprostował niecierpliwie. - Dałabyś już spokój, Jane. Czy jeszcze ci nie udowodniłem, że nie jestem taki bezwzględny, za jakiego mnie miałaś?

Spojrzała na niego poruszona.

- To po to to wszystko? Po to zmieniłeś plany względem firmy Warnera? Żeby zrobić na mnie wrażenie?

Przygarbił się nagle, w jego oczach błysnął gniew.

- Wiesz co, ty naprawdę jesteś naj... - Umilkł, jakby nie chciał dać się ponieść nerwom. - Czy ty specjalnie chcesz mnie obrazić, czy taka już po prostu jesteś?

Raptem uderzyła ją myśl, że to, co powiedział, odnosi się do niej dawnej, a dawniej oceniała go jak najgorzej. Minęły jednak trzy lata. Zmieniła się, więc może i on...

- Przepraszam - odburknęła, umykając wzrokiem.

Przez chwilę patrzył na nią drwiąco i powoli rozluźnił się.

- No i co teraz? - Swobodnie zmienił temat. - Idziesz do domu wziąć prysznic, czy też może planujesz jeszcze jakieś fizyczne tortury?

Z uśmiechem pokręciła głową, wiedząc zresztą, że właśnie takiej reakcji się spodziewał.

- Teraz tylko kawka, croissantsy i gazety - powiedziała żartobliwie.

- To rozumiem. - Leciutko ścisnął ją za łokieć. - Sił mam akurat na kawę i odpoczynek. Bierny!

- Zaraz, zaraz - uśmiechnęła się przekornie. - Normalnie najpierw kupuję croissanty i gazety, a dopiero potem biegnę do domu na kawę. Ale dziś - dodała, widząc jego minę - mogę ostatecznie zrobić wyjątek, bo wyraźnie masz dość.

Jak zwykle cukiernia była już otwarta. Dożywał się z niej zapach parzącej się kawy. Kiedy weszli, kilka osób przy ciasno stłoczonych stolikach delektowało się już rogalikami. Były tu najsmaczniejsze croissanty, jakie Jane gdziekolwiek zdarzyło się jeść. Nawet jej własne nie były takie pyszne.

Z ulicy cukierenka wyglądała mało zachęcająco. Jane spostrzegła, że Gabe zerka na nią z powątpiewaniem, jakby nie rozumiał, po co mieliby tam wchodzić.

- Wierz mi, warto - zachęciła go z uśmiechem.

- Skoro ty tak twierdzisz...

Słyszając, że ktoś wchodzi, mężczyzna za ladą zerknął znad gazety i na widok Jane ucieszył się. Powitał ją po angielsku z mocnym francuskim akcentem, wyszedł zza kontuaru i ucałował w oba policzki.

- To samo, co zwykle? - zapytał Francois.

Usłyszała ironiczne prychnięcie Gabe'a i skarciła go wzrokiem.

- Przeprowadziłam dziś znajomego - odpowiedziała ciepło.

- Daj mi więc może podwójne croissanty i dwie filiżanki kawy, tej przepysznej co zawsze - poprosiła i zdecydowanym ruchem pokierowała swego towarzysza do stolika przy oknie.

- Najpierw Włoch, teraz znowu jakiś Francuz - wymruzczał, rzucając niechętnie spojrzenie na przystojnego sprzedawcę.

Odpowiedziała mu z rozbawieniem w oczach.

- Taka już ze mnie kosmopolitka. Chociaż muszę przyznać, że z pewnym Amerykaninem mam niemały kłopot.

- Mówisz o mnie?

Roześmiała się cicho.

- Mina urażonego niewiniątka zupełnie do ciebie nie pasuje, Gabe.

- No wiesz... - Przerwał, gdyż do stolika zbliżył się właśnie Francois. Niósł zgrabnie na tacy dwie filiżanki kawy, talerzyki z croissantami oraz masło i miód. - Pięknie to wygląda - pochwalił cukiernika. - A przy okazji, poznajmy się. Gabe Vaughan, bardzo mi miło. - Wyciągnął rękę.

- Przyjaciele Jane są moimi przyjaciółmi - odparł dosyć chłodno Francois, odpowiadając uściskiem dłoni.

Gabe najwyraźniej odczuł ten chłód. Kiedy Francois odszedł i zajął się znów lekturą gazety, popatrzył znacząco na Jane.

- Możesz mnie łaskawie poinformować, jak blisko się znacie?

- Oj, Gabe! On również jest żonaty - ucięła, smarując rogalik miodem. - Zajmij się lepiej jedzeniem.

- Rozkaz, madame! - Przysunął do siebie talerzyk.

- No, nareszcie - odetchnęła po chwili z ulgą. - Znalazłam sposób, żebyś zamknął buzię.

Na twarzy Gabe'a pojawił się najpierw wyraz zastanowienia, a potem, po pierwszym kęsie, wyraz zachwytu.

- Niebo w gębie! On zrobiłby w Stanach majątek.

- Tu też radzi sobie niezgorzej. I, wielkie dzięki, nawet nie próbuj go kusić!

Nie umiałyby już sobie wyobrazić dnia bez porannych croissantów Francois.

Gabe ugryzł rogalik z taką miną, jakby jeszcze nie wierzył, że może być coś tak pysznego.

- Ożeniłbym się z tym twoim Francois, gdyby nie był już żonaty - powiedział z pełnymi ustami. - Twoje wypieki też są takie smaczne?

- Nie aż tak - zaprzeczyła ostro. W mówieniu o małżeństwie, choćby nawet żartem, nie umiała znaleźć nic wesołego.

- Szkoda. - Posmarował grubo miodem ostatni kęs. - A zatem musi mi wystarczyć Francois.

Pewnie, że tak! Wiedziała, naturalnie, że wszystko to żarty, ale nie był to temat skłaniający do żartów. Z nikim, a już na pewno nie z Gabrielem Vaughanem.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Powiedz mi - odezwała się kpiąco, gdy pili drugą z kolei kawę - co byś zrobił, gdybym dzisiaj nie wyszła pobiegać?

Wzruszył ramionami.

- Świącie wierzyłem w twój upór. Nie wyglądasz mi na kogoś, kto sobie odpuszcza. Poza tym pomyślałem, że po wczorajszej obfitej kolacji dobrze by było się trochę poruszać. Nie byłem jedynie pewien, o której zaczynasz... chociaż przy twoim rozkładzie dnia to i tak wcześniej.

- Uparty z siebie człowiek - powiedziała lekko zmieszana.

- Mam to po ojcu...

- Polityku...

- W stanie spoczynku - dokończył sentencjonalnie, chociaż było mu wyraźnie przyjemnie, że zapamiętała.

A przecież, prawdę mówiąc, zapamiętała z tamtej rozmowy każde słowo.

- Tak przynajmniej o sobie mówi...

- Ale nie wiesz, dlaczego pytam. W weekendy zazwyczaj robię sobie odsapkę, a normalnie, kiedy nie mam tyle zamówień, co teraz, trenuję trochę później. Dzisiaj organizuję lunch, więc wstałam raniutko.

- Na moje szczęście. Byłoby jeszcze przyjemniej, gdybyśmy wieczorem w ogóle się nie rozstali, ale rozumiem, że nie mogę mieć wszystkiego. - Popatrzył na nią zaborczo.

- Jeśli chodzi o mnie, to na pewno - roześmiała się, wsta-

jąc od stołu. Zrezygnowała z prób powstrzymywania Gabe'a przed tego typu uwagami ani się już na nie nie obruszała; i tak nie brał sobie tego do serca. - Czas iść. Mam mnóstwo roboty.

- Ja również, łaskawa pani, ja również - wycodził, idąc za nią do lady. - Pozwól, że ...

- Dzisiaj stawiam ja. - Podała Francois odliczone pieniądze. - Gabe jest zdania, że powinienes jechać do Stanów i że tam zrobiłbyś majątek - powiedziała z humorem.

- I pozbawiłbym się przyjemności płacenia tych wszystkich tutejszych podatków? Poza tym mam angielską teściową - dodał, wznosząc oczy do nieba i robiąc minę do Gabe'a. - A czy istnieje większy skarb niż angielska teściowa? - Westchnął ciężko.

- Jeszcze jeden powód, żeby wynieść się z tego pięknego kraju - odparł współczującym tonem Gabe, choć widać było, że się dobrze bawi.

- Nie ma mowy, żeby pozwoliła zabrać sobie dwoje wnucząt, nie mówiąc już o córce. Żona zresztą też by się na to nie zgodziła... Wie pan, dziesięć lat temu, kiedy się poznailiśmy, była śliczna i kochana. We wszystkim się zgadzaliśmy. Ale z biegiem czasu moja gołąbeczka staje się coraz podobniejsza do swojej matki.

- Nikt pana nie przestrzegął, że nim się człowiek ożeni, powinien najpierw dobrze przyjrzeć się mamusi?

Jane odkaslnęła znacząco. Czy ten Gabe zawsze tak umiał dogadać się z każdym i w każdej sytuacji? Potrafił znakomicie docierać do ludzi... Dziwne. Trzy lata temu miała o nim zupełnie inne wyobrażenie. Wydawał jej się kimś niedostępnym i wyniosłym.

- Przepraszam, moglibyście już skończyć?

Gabe popatrzył na nią z góry.

- Niegłupia myśl - mruknął. - Może i ja powinienem poznać twoją mamę.

Przecież już ją znał!

- Bardzo mi przykro - zadrwiła. - Niestety, niczym jej nie przypominam. Moja mama jest osobą delikatną, uprzejmą i absolutnie oddaną ojcu.

Nie uważała siebie za osobę szczególnie niedelikatną i niesympatyczną, ale miała za sobą jedno nieudane małżeństwo i ani jej się śniło powtarzać tamto doświadczenie.

Obaj mężczyźni roześmieli się, ale wesołość Gabe'a znikła, kiedy tylko wyszli na ulicę.

- Wiesz - powiedział markotnie, przytrzymując ją lekko za łokieć - nie wszystkim dane jest takie szczęście, jakie stało się udziałem naszych rodziców. Tak sobie nawet myślę, że przez to, że moi są razem tyle lat szczęśliwi, wbiłem sobie do głowy błędne przekonanie, że tak musi być zawsze. A przecież... - Pokręcił głową.

Gotowa była z nim się zgodzić. Jako dwudziestolatka wyobrażała sobie, że jej małżeństwo będzie związkiem na całe życie, pełnym miłości i szczęścia. Już po kilku miesiącach zorientowała się, że osiągnięcie tego z Pauliem będzie trudne. Skoro jednak weszła w ten związek, była zdecydowana nad nim pracować. Niestety, Paul nie odczuwał tej samej potrzeby.

- Związki małżeńskie naszych rodziców należą z całą pewnością do wyjątków - skwitowała cierpko.

- Regułą w każdym razie nie są. - Zerknął na zegarek. - No, to jestem ci dłużny kolację i śniadanie. Jest szansa, żebyśmy zaczęli od kolacji?

A skończyli wspólnym śniadaniem następnego ranka!

Gabe'owi jednakże z całą pewnością należały się punkty za starania. Co jak co, ale czekać na nią w parku skoro świt

nie musiał. Nigdy by nie pomyślała, że ktoś taki jak on - zamożny, przystojny i wolny - może z takim uporem zabiegać o kobietę, a już zwłaszcza o taką, której na tym w ogóle nie zależało. Chociaż może to właśnie był magnes.

- Mówiłam ci, że to jest ciężki okres, ale...

- Nawet Święty Mikołaj musi mieć trochę wolnego przed swoim wielkim dniem - wtrącił tonem perswazji.

- Ale tak się składa, że dzisiejszy wieczór mam wolny

- powiedziała bez wahania, po czym już mniej pewnie dodała: - Prawie nigdy nie organizuję tego samego dnia lunchu i kolacji.

- A dzisiaj zamówili u ciebie lunch! Czyli wieczór jest mój! Całe szczęście!

Może i szczęście, ale na pewno nie wtedy, gdyby miało się to zakończyć podbojem.

- Skąd wiesz, że Święty Mikołaj bierze sobie urlop?

Wybuchnął śmiechem.

- Zastanawiałem się, czy mnie tym przyszpilisz!

Z największą radością zagiełaby go czymkolwiek. Gdyby tylko potrafiła! Zerknęła na niego, ale patrzył znowu na zegarek.

- Zatrzymuję cię? - rzuciła niechętnie. - Spóźnisz się na coś czy na spotkanie z kimś?

- Tak się składa, że na jedno i drugie. O dziesiątej miałem być w biurze, a przedtem muszę jeszcze koniecznie wziąć prysznic.

- Kolejny nieszczęśnik będzie bronił przed tobą swojej firmy?

Gabe z irytacją pokręcił głową.

- Chciałbym wiedzieć, kto cię nafaszerował tymi bzdurnymi opiniami na temat metod, jakimi ponoć posługuję się w interesach. Chętnie bym mu osobiście podziękował.

Niestety, było to niemożliwe. Wszystko, co wiedziała o Gabrieli Vaughanie i jego sposobach „załatwiania” innych, pochodziło od Paula.

Wzruszyła ramionami.

- To nieistotne.

- Może dla ciebie. Ale dla mnie ważne jak cholera. Zawsze uważałem, że dopiero wtedy wolno mi było wejść w sprawę i przejąć firmę, gdy groził jej upadek. Gdybym tego nie zrobił, przejąłby ją kto inny! A dzięki mnie przynajmniej oszczędzona zostaje załoga, a często i zarząd, jeśli to nie one są przyczyną zapaści.

Dokładnie tak postąpił z zakładami ojca... ale jego samego nie oszczędził.

- Jednym słowem: rycerz w lśniącej zbroi. Nie, Gabe, nie wydajesz mi się kimś takim.

- Dobrze wiem, za kogo mnie masz, Jane - wybuchnął ze złością. - Robię, co mogę, żeby cię przekonać, że się mylisz.

Nagle uzmysłowiła sobie, że częściowo mu się to udało. Kilkakrotnie już zaskoczył ją działaniami, które nie zgadzały się z wizerunkiem bezwzględnego szakala, jaki sobie wytworzyła.

- A zresztą, do diabła z tym wszystkim - sapnął niecierpliwie. - Powiedz mi tylko, kiedy i gdzie mamy się spotkać wieczorem. Byłoby nie w takim lokalu, gdzie jakiś kolejny restaurator będzie cię obcałowywał jak wyęsknioną ukochaną - dodał ponuro.

Był zazdrosny! O Antonia i Francois! Był wobec nich obu sympatyczny, a oto okazywało się, że za jego swobodnym zachowaniem kryły się emocje na pokaz i to zupełnie innej natury.

- Umówmy się w „Caroline”. - Podała mu adres swojej

ulubionej francuskiej knajpki. - Mam nadzieję, że o ósmej znajdzie się tam wolny stolik. Co prawda teraz, przed świętami, może być z tym kłopot.

- Zakładam, że w „Caroline” szefuje kobieta. Jakaś Caroline...

- Słusznie. Ale kuchnią - dodała z uśmiechem - zarządza Pierre, jej mąż.

- Poddaję się. - Westchnął i znowu rzucił okiem na zegarek. - Mam absolutną pewność, że nie będziesz miała problemu z rezerwacją stolika, choćby nawet były to same święta. Będę o ósmej. A teraz naprawdę muszę już lecieć.

Nachylił się i leciutko pocałował ją w usta, a potem pobiegł w kierunku głównej ulicy, gdzie łatwiej było złapać taksówkę.

Siedziała przy stoliku, przypominając sobie nagraną na automat wiadomość od matki: „Cześć, kochana! Co za radość! Tatus i ja postanowiliśmy wpaść na jeden dzień do Londynu i pomyśleliśmy, że byłoby cudownie, gdybyśmy mogli jak kiedyś we troje wypić herbatę w «Waldorfie». Będziemy tam o wpół do piątej, ale nie przejmuj się, gdybyś nie mogła przyjść. Jeśli tak by się ułożyło, zatelefonuję do ciebie za parę dni”.

Za parę dni?! Nie mogła czekać tak długo, żeby się dowiedzieć, co skłoniło rodziców do przyjazdu do Londynu. Londyński dom, tak jak wszystko, co nie było niezbędne, sprzedano trzy lata temu. Na wypad do Londynu, nie mówiąc już o herbatce w ekskluzywnej kawiarni, też nie było pieniędzy. Niegdyś w „Waldorfie” spotykały się z matką za każdym razem, gdy przyjeżdżała ze szkoły do domu. Ojciec na ogół był zbyt zajęty, by im towarzyszyć.

Dziś jednak chodziło o coś zupełnie innego. Całe szczę-

ście, że po pracy wróciła do domu na czas, by zdążyć na spotkanie z rodzicami.

Dzień w Londynie...

Obecnie rodzice przyjeżdżali tutaj rzadko, a jeśli już, to nie tak niespodziewanie i nie na parę godzin. Zazwyczaj zatrzymywali się u niej na kilka dni...

No więc czekała na nich, siedząc jak na szpilkach. Minuta do wpół do piątej... Są! Matka zwracała uwagę swoją promienną urodą. Była w różowym kostiumiku z wełenki, prosto od fryzjera. Podchodząc z ojcem do zarezerwowanego stolika, witała uśmiechem znane jej osoby - stałych bywalców kawiarni. Ojciec, wysoki i przystojny, przypominał tego, którego znała z dzieciństwa i swoich dziewczęcych lat. Radość, którą odczuła na widok tak odmienionych rodziców, mieszała się natychmiast z uczuciem niepewności i lęku. Skąd ta przemiana? Z jakiego powodu? Wstała.

- Cześć, kochana! - Matka entuzjastycznie cmoknęła ją w policzek. Ojciec przywitał się bardziej powściągliwie, ale w jego dobrych, ciepłych oczach zobaczyła błysk radości.

- Świetnie to wymyśliliście. - Jane uśmiechnęła się i usiadła. - Dziękuję, że mnie zaprosiliście.

Nie potrafiła wyzbyć się uczucia dziwności całej tej sytuacji, lecz bardzo się starała niczego po sobie nie pokazać. Nie chciała przecież zetrzeć z twarzy dwojga najbardziej ukochanych w świecie istot blasku szczęścia.

- Jak wam się udał dzień? - zapytała ostrożnie, gdy na stole znalazły się już sandwicze, filizanki z cieniutkiej porcelany, a matka nalała wszystkim z dzbanka pyszną herbatę Earl Grey. - Trochę już późno na świąteczne zakupy, a i pogoda nie nastraja do chodzenia po sklepach.

Przez cały dzień padał deszcz ze śniegiem, wiał też nieprzyjemny zimny wiatr.

- Wszystko jest tak pięknie udekorowane, że nawet nie zauważyliśmy pluchy - powiedziała radośnie matka. - Zapomniałam już, jak cudnie wygląda miasto o tej porze roku.

Szczerze mówiąc, Jane prawie nie zauważyła świątecznych dekoracji i to nie dlatego, że nie lubiła świąt, ale dlatego, że aż do samiusieńkiej Wigilii będzie dosłownie padać z nóg przy organizacji przyjęć. Pierwszy dzień świąt miała spędzić z rodzicami, ale już drugiego zaczynała się ta sama karuzela. Jednakże faktycznie - miasto wyglądało jak z bajki. Dotarło to do niej dopiero teraz i raptem poczuła nastrój zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Nie wiadomo dlaczego przeszło jej przez myśl, że może ma też w tym udział obecność w jej życiu Gabriela Vaughana, ale zaraz zaprzeczyła sama sobie. W żadnym razie. Nic dla niej nie znaczył. Ani teraz, ani nigdy.

- Mieliście jakiś szczególny powód, żeby przyjechać do Londynu właśnie dziś? - spytała, odbierając filiżankę z herbatą z rąk matki.

Rodzice spojrzeli na siebie.

- Prawdę powiedziawszy - odezwał się ojciec - miałem, Janette, spotkanie w interesach. No, nie rób takiej zdziwionej miny... - Roześmiał się. - Ma się jeszcze pewne kontakty...

Może. Tyle że kiedy wpadł w tarapaty i musiał sprzedać firmę Vaughanowi, opuścili go prawie wszyscy, Takie to były „kontakty”. Niezależnie jednak od tego, co oznaczało owo „spotkanie w interesach”, ojciec odmłodził się. Z sześćdziesięcioletniego starca przeobraził się znów w mężczyznę w pełni sił, z błyskiem energii w oczach.

- Wiem, tatku, wiem - powiedziała przeproszającym tonem. - Myślałam tylko... wydawało mi się, że...

- Że wypiąłem się już na wszystko - dokończył ze swadą.
- Tak jak prawie wszyscy wypięli się na mnie! - Po raz pierwszy od trzech lat wyraził głośno ból, jaki i on, i matka

przeżywali z powodu opuszczenia ich przez tak zwanych przyjaciół. - Życie na bocznym torze nie jest, jak się domyślasz, czymś szczególnie radosnym.

Zwłaszcza gdy się zostało do tego zmuszonym!

Jednakże, tak czy owak, ojciec miał obecnie sześćdziesiąt jeden lat. Niemożliwe, żeby myślał poważnie o wywalczeniu sobie w tym wieku pozycji w biznesie. Jane zerknęła na matkę, ale ta wpatrzona była w męża. Jej oczy mówiły: „Jestem z ciebie dumna, kocham cię”. To nigdy się w niej nie zmieniło. Tak jak i w Jane. A jednak dzisiaj w spojrzeniu matki było jeszcze coś, czego nie umiałyby nazwać.

- No dobrze, tato. Nie trzymaj mnie w niepewności. Powiedz, co działałeś.

- Niczego jeszcze nie działałem. - Uśmiechnął się. - I wcale nie wiem, czy powinienem ci mówić o pewnych planach. Może dopiero wtedy, gdy sprawa nabierze rumieńców. Jak myślisz, Daphne? - Na jego twarz powróciło coś z tego wahania i niepewności, które przygniatały go przez całe trzy lata.

- Wszystko się uda, zobaczysz. - Położyła dłoń na jego rękę. - Ale myślę - dodała szybko - że poczekajmy, odłóżmy to na po świętach. Janette... Nic się nie zmieniło? Będziesz u nas na Wigilii, prawda?

A niby dokąd jeszcze mogłaby pójść na Wigilię? Poza tym, zawsze spędzała ją u rodziców. Nawet w najgorszym okresie małżeństwa z Paulem, Boże Narodzenie obchodzili w rodzinnym gronie, choć niekoniecznie radośnie.

Teraz też niespecjalnie cieszył ją przebieg tej rozmowy. Od dziecka nie znosiła niedomówień. W okresie małżeństwa jej niechęć do wszelkich sekretów stała się niemal obsesyjna, bo wszystko, co Paul mówił czy robił, było niejasne. Doszło do tego, że ona przestała o cokolwiek pytać, a on mówić.

- Naturalnie, będę, ale... Naprawdę nie powiecie mi już ani słówka? Przecież czuję, że to dobre nowiny?

Ojciec roześmiał się.

- Wiesz co, Janie? Dąszasz się jak wtedy, gdy byłaś małeńka.

Uśmiechnęła się, spłoszona. Może jednak żądała od rodziców za wiele?

- I co? Działo?

- Wtedy pewnie i tak - przyznał ciepło. - Teraz jednak masz dwadzieścia osiem lat. Efekt nie może być ten sam.

Jane roześmiała się. Dawno już ojciec nie był taki jowialny. Ale podobało jej się to. Niezależnie od powodu przemiany, jaka zaszła w nim i w matce, mogła być jedynie wdzięczna losowi.

- Pij herbatę, Janette - ponagliła ją matka. - Musimy zdążyć na pociąg.

Posłusznie upiła łyk. Mama zaczynała zachowywać się tak jak dawniej. W ogóle atmosfera była taka, jakby wszyscy troje wynurzali się z długiego, ciemnego tunelu.

- Dlaczego nie zatrzymacie się u mnie jak zawsze? Musicie się spieszyć?

- Masz teraz tyle pracy. - Matka uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - Nie chcemy ci odbierać resztek czasu, który masz dla siebie. Wiem, wiem... Nigdy nie mówisz o żadnych mężczyznach, ale przecież jesteś taka śliczna... Ładniej co prawda było ci w naturalnym kolorze włosów, ale...

- Daphne, bardzo cię proszę - przerwał delikatnie ojciec. - Jestem oczywiście tego samego zdania, co ty, ale obecnie młode kobiety zmieniają kolor włosów w zależności od stroju, który akurat noszą. Za tydzień nasza Janette może zechcieć być płomienną rudowłosą pięknoscią...

- Nie, tato - zapewniła go oschle, chociaż była wdzięcz-

na ojcu za to, że zmienił temat i nie muszą rozmawiać o „mężczyznach w jej życiu”.

- Ja też tak nie myślę, córeczko - uśmiechnął się w odpowiedzi. - A mama, Janie, ma rację, naprawdę jesteś piękną dziewczyną. Jedno paskudne doświadczenie nie powinno ci zatruć całego życia...

- Ale zatruło - ucięła ostro. - Nie było żadnych mężczyzn, nie ma i nie będzie!

Gabe nie istniał w jej życiu - to tylko on starał się wciągnąć ją w swoje własne.

- W takim razie, jakim sposobem miałbym kiedyś zostać dziadkiem?

- O adopcji nie myślałeś?

- Przestańcie! - zażądała kategorycznie matka. - Dzień cudowny, idą święta i nie życzę sobie słuchać idiotycznych, do niczego nie prowadzących rozmów. David, chcesz jeszcze herbaty?

Wspaniale było widzieć rodziców w tak znakomitej formie. Godzinę później, kiedy wracała do siebie, uzmysłowiła sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna - w gruncie rzeczy od trzech lat - nie miała podczas spotkania z rodzicami poczucia winy, które do tej pory oddziaływało na nią niczym mur.

Coś się w ich życiu zmieniało. W życiu wszystkich trojga. Zmiany do jej życia wnosił Gabriel Vaughan. Gdyby jednak rodzice dowiedzieli się, że to on jest tym ważnym dla niej mężczyzną, jakby to wpłynęło na ich świeżo odzyskaną radość życia? Była pewna, że nie najlepiej. A nic, absolutnie nic, nie mogło odebrać im nadziei na lepszą przyszłość i dobrego nastroju. Oznaczało to dla niej jedno: dziś wieczorem powinna się spotkać z Gabe'em po raz ostatni w życiu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie do wiary! Mieć takie znajomości i nie móc nigdzie zarezerwować stolika!

Wszedł do mieszkania, nie zatrzymując się nawet, żeby powiedzieć: dzień dobry.

- Czyli że znowu jemy w domu. - Uśmiechnął się szeroko, lecz trochę złośliwie.

Miała mu już odpowiedzieć coś ciętego, ale ten uśmiech zupełnie ją rozbroił.

- Co zrobić... To już prawie święta.

O matko, ale on cudny!

Przez dwie godziny wmawiała sobie, że Gabe nic dla niej nie znaczy, że zjedzą wspólnie kolację, a potem powie mu po prostu: „Zegnaj, przyjacielu” - i to w taki sposób, żeby nie było już żadnych wątpliwości. Ale...

To nieprawda, że nie mogła zarezerwować stolika. Z Caroline i Pierre'em znała się od dawna. Stolik dla niej znalazłby się zawsze - choćby nawet mieli wstawić do sali jeszcze jeden. Restauracja nie była jednak najlepszym miejscem na rozstanie, zwłaszcza jeśli Gabe okazałby się jak zwykle nieustępliwy. Poprosiła więc Felicity o jego numer i zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że spotkają się u niej w domu.

- Przyniosłem to. - Podniósł do góry butelkę wyśmienitego czerwonego wina. - Nie powiedziałaś, co będziemy jeść, ale domyślam się, że nie tosty z fasolą.

- Tylko jajka.

Spojrzał na nią lodowato.

- Miałem dobry dzień, Jane. Nie popsuj mi humoru jakimiś jajkami.

Wyjęła mu butelkę z ręki i wróciła do kuchni, gdzie zastała ją jego dzwonek do drzwi.

- Wygląda na to, że wszystkim się dzisiaj wiedzie - mruknęła pod nosem, odkorkowując wino. - Wara od garnków, Gabe! - rzuciła ostro, widząc, że chce podnieść pokrywkę. - Oczekiwanie to połowa przyjemności.

- Wiem.

Odwróciła powoli głowę i od razu pożałowała, że na niego spozrzała. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby chciał ją zjeść. A celowo ubrała się tego wieczoru niezbyt wystrzałow. Włożyła kaszmirowy sweterek, który kupiła sobie, gdy jeszcze była blondynką, i czarną, dopasowaną spódnicę do kolan. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że odcień sweterka pasuje właśnie lepiej do włosów ciemnych, jakie miała teraz, i wydobywa z nich rudawe lśnienie. Wydawała się niemal „płomienną rudowłosą”, jak to niedawno prorokował ojciec.

- Gabe, kieliszki! - zakomenderowała nieprzyjemnym tonem.

- Do usług. - Kiwnął ironicznie głową, przeszedł przez kuchnię i otworzył od razu właściwą szafkę.

Pomysł, żeby spotkać się w mieszkaniu, nie był może jednak taki mądry. Gabe czuł się tutaj zbyt swobodnie. Za dobrze znał to miejsce, którego Jane, mimo wszystko, nie uważała nigdy za swój prawdziwy dom.

- Za co wypijemy? - Gdy stała zatopiona w myślach, nalał wino, a teraz podawał jej jeden z kieliszków. - Może za dobre dni?

To już lepiej, niż gdyby powiedział „za nas”. Źle to wymyśliła. Miała tylko nadzieję, że wieczór minie szybko.

- A może poszedłbyś do pokoju? Nastawiłbyś jakąś muzykę, a ja podałamby przystawki - zasugerowała, tracąc swój zwykły spokój.

Jak zwykle, gdy miała go obok. Najwyższy czas, żeby powiedzieć: „Bywaj zdrów!”.

- Mówiłeś, że miałeś dobry dzień - zagaiła, gdy usiedli do pachnących czosnkiem krewetek w świeżutkim majonezie. - Bo?

Spojrzał na nią wesoło.

- Rano po raz pierwszy od dwóch tygodni pobiegałem zdrowo.

- Wstydź się!

- Ho, ho, ale pyszne. - Zjadł krewetkę, nie załując sobie majonezu. - Nie mogę się doczekać na drugie. Ciekawe, co my tu mamy...

Kocha jeść, więc przynajmniej nie będzie dużo mówił, pomyślała z nadzieją. Wino, jak się od razu domyśliła, było przednie - bogate w smaku, rozkosz dla podniebienia. Gabriel V. jak zwykle korzystał z tego, co najlepsze.

- A tobie, jak minął dzień? Też miło? - Spojrzał na nią znad jedzenia, ale natknąwszy się na jej nieprzyjemną minę, przygasł. - O co chodzi?

Drwiąco potrząsnęła głową.

- Nie musimy się .zgrywać, Gabe - powiedziała niechętnym tonem. - Jemy kolację, a nie spędzamy razem życia - wytłumaczyła z irytacją.

- Ależ, Jane. Tak się zaczyna. Ludzie ze sobą rozmawiają, jedzą, dowiadują się, jacy są, co lubią, a czego nie lubią, no, normalnie... Nie wskakują od razu w małżeństwo...

- Nie wydaje mi się, żebym użyła słowa małżeństwo!
- Podniosła się gwałtownie.

Jeśli chodziło o nią, pierwsze danie było zakończone.

- Jak już kiedyś wspomniałem - powiedział cicho, odwracając się na krzesło i patrząc na nią, gdy prawie wybiegła do kuchni - to musiał być prawdziwy sukinsyn.

Nie przypominała sobie, żeby coś takiego mówił. Ale, wszystko jedno, miał rację. To miano dokładnie pasowało do Paula. Ręce trzęsły się jej tak mocno, że ledwie doniosła talerzyki. Brzęknęły głośno, gdy prawie upuściła je na blat. Co się ze mną dzieje? - myślała przerażona. Podjęła decyzję. Miała powiedzieć Gabe'owi, że widzą się po raz ostatni. Tymczasem wystarczyło jej spojrzeć na niego, żeby postanowienie osłabło. Wystarczył jeden jego uśmiech, a zaczynała się trząść. Gdyby jej dotknął...

- Nic ci nie jest? Jane, co ty jesteś taka niedotykalska? - Ściągnął brwi, gdy dosłownie podskoczyła, kiedy dotknął jej ręki. - Co się z tobą dzieje?

Przed chwilą sama się o to pytała. I nagle, patrząc na niego, uświadomiła sobie, jaka jest prawda. Nie! To niemożliwe, żeby tego chciała. Niemożliwe, żeby pragnęła jego dotyku i tego, żeby się z nią kochał. A jednak tak właśnie było. Dokładnie. Podobne odczucia były jej obce od czasu... Ale nawet nie. Z Paulem było inaczej. Nigdy nie drżała z pragnienia, żeby jej dotykał, nigdy nie tęskniła za jego pocałunkiem. Ale Paula kochała. Gabe'a - nie. To było wyłącznie pożądanie. O Boże...

- Co ci jest, Jane?

Musiła wziąć się w garść, dokończyć tę kolację - wątpliwe, by uznał za stosowne wyjść wcześniej - a potem wygarnąć mu z absolutną jasnością, że nie życzy sobie, żeby wdierał się w jej życie, jak i kiedy chce; że nie będzie już wspólnego biegania po parku, spotkań w jej mieszkaniu i niecierpliwych wiadomości zostawianych na automatycznej sekretarce. A co najważniejsze - żadnych okazji do zbliżeń.

- Przepraszam - rzuciła lekko. - Kiedy wszedłeś, byłam myślami daleko stąd; jestem też chyba trochę zmęczona. - Posłała mu nic nie znaczący uśmiech i jakby definitywnie kończąc rozmowę, podeszła do kuchenki, na której skwierczało przygotowane mięso. - Idź, jeśli łaska, do pokoju. Zaraz wszystko przyniosę.

Uśluhał nie od razu. Nie podnosząc oczu, przez pewien czas czuła na sobie jego wzrok, po czym kątem oka dostrzegła, że machnął ręką, odwrócił się i wyszedł. Oparła się wtedy o stół, jakby zupełnie opadła z sił. Nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny tak, jak teraz Gabe'a. A nie było szansy, najmniejszej szansy na to, by kiedykolwiek mogła zaspokoić to pragnienie.

Zawsze - to znaczy wtedy, kiedy sobie na to w ogóle pozwalała - myślała o nim jako o mężczyźnie, który korzysta z przyjemności, jeśli ma ochotę, i idzie dalej. Zdażyła wszakże zauważyć jedno: jeśli Gabe czegoś naprawdę chciał, to nie rezygnował łatwo. Nie miała wątpliwości, że - przynajmniej fizycznie - pragnął jej tak samo mocno, jak ona jego. Nie wątpiła też, że nie skończyłoby się na jednym razie.

Miała mu powiedzieć: Żegnaj. Nie ze złością, nie gniewnie. Miało to być powiedziane w taki sposób, żeby zrozumiał, że nie ma powrotu.

Ból minie, myślała, podając jagnięcinę z warzywami w sosie estragonowym. Wszystko wróci do normy. Życie ułoży się jak dawniej - potoczy się bez większych problemów i komplikacji. Tylko dlaczego myśl o tym zupełnie jej nie cieszyła? Śmieszne! Właśnie - śmieszne! Dziękuję. Żegnaj. Dwa słowa. Tak łatwo je powiedzieć. Czy jednak umiała je wypowiedzieć w taki sposób, żeby nie pozostał nawet cień \ wątpliwości?

Gdy weszła do pokoju, Gabe odwrócił głowę i uśmiechnął się promiennie.

Boże!

Żegnaj, powtórzyła w myślach. Tak mam powiedzieć. Bez żadnych „ale”.

- Niepotrzebnie się dzisiaj napracowałam przy tym jedzeniu dla nas - powiedział przepaszającym tonem, gdy usiadła naprzeciw. - Powinienem być o tym pomyśleć, kiedy do mnie dzwoniłaś. Przecież już dzisiaj pitrasiałaś dla obcych - i ten jeden raz wystarczy. Ale ze mnie dureń. Mogłem przynajmniej zaprosić cię do siebie i sam coś przyrządzić...

- Daj spokój - przerwała. Wiedziała, że Gabe myśli o tym od kilku minut i że tłumaczy sobie jej niecodzienne zdenerwowanie przemęczeniem. - Przygotowanie kolacji dla dwóch osób, zwłaszcza we własnym domu, to żaden wysiłek.

- Ale to ja miałem cię dziś zaprosić...

- Wiesz co - powiedziała miękko - należę do tych kucharzy, którzy wpadają w zły humor, gdy widzą, jak jedzenie stygnie.

Wiedziała, że chętnie by się jeszcze raz sprzeciwił, ale w pewnym momencie uśmiechnął się, rozluźnił i podniósł sztucę.

- Zrozumiałem! A więc do dzieła.

Jadła mało i bez apetytu. Jeszcze kilka kwadransów i koniec - nigdy się już nie zobaczą. Jak mogła dopuścić, żeby tak się wkradł w jej uczucia? Nawet jeśli chodziło wyłącznie o pożądanie. Kiedy to się stało?

- ...Moi rodzice przyjeżdżają jutro do Anglii i zastanawiałem się, czy nie zechciałybyś spotkać się z nami na kolacji.

Zamrugała powiekami, wybita z własnych myśli. Powoli dotarło do niej to, co powiedział. Jutro do Londynu przyje-

chać mają jego rodzice. W zasadzie, nic w tym dziwnego. Zbliżały się święta, a jak mówił, był jedynakiem. Ale spotkać się z nimi? Dziwna propozycja.

- Wiesz przecież, ile mam teraz pracy. Jutro wieczorem szykuję przyjęcie dla trzydziestu osób.

- Pracujesz zdecydowanie za ciężko - odburknął z dezaprobatą.

- Trzeba za coś jeść - zaakcentowała oschle konieczność swojej pracy.

Może Gabe zapomniał już, jak to jest; może w jego sytuacji finansowej można już było pozwolić sobie na odpoczynek, ale w jej na pewno nie!

- Nie musisz być taka... - Westchnął ciężko.

- Dobrze, dobrze - ucięła twardo. - Nie wygłaszaaj mi tu kazań. Nie znoszę męskiego szowinizmu.

- To wcale nie jest śmieszne. - Ściągnął brwi. - Kiedy myślę...

- A mnie się często wydaje, że czasami myślenie tylko komplikuje sprawy - powiedziała spokojnie, odkładając sztućce. Nie zjadła nawet połowy dania, chociaż Gabe'owi chyba bardzo smakowało, gdyż zmiotł z talerza wszystko.

- Podać teraz ser czy deser? Zauważyłam, że ostatnio rozmaicie się to je.

- Prawdę mówiąc... - Pochylił się do przodu, opierając łokcie o stół i patrząc jej prosto w twarz. - Chciałbym, żebyś teraz odpowiedziała na moje pytanie.

Uniosła brwi.

- Na które?

Oczywiście wiedziała, o jakie pytanie chodzi. Wiedziała też, że nie ma zamiaru spotykać się z jego rodzicami - ani teraz, ani nigdy.

To był ich ostatni wspólny wieczór.

Skrzywił się lekko i potrząsnął głową.

- Tym razem nie uda ci się wykręcić, Jane. Bardzo bym chciał, żebyś poznała moich rodziców. I oni ciebie.

- Dlaczego? - zapytała podobnie zirytowanym tonem.

- Bo to są mili ludzie.

To nie oni jednak mieliby się czuć podczas takiego spotkania jak na lustracji, a ona. Osiem lat temu już przez coś podobnego przechodziła. Och, jak bardzo zależało jej wtedy na aprobachie ze strony rodziców Paula. Nie wiedziała, że nie warto się wysilać. Dla Grangerów liczyło się jedynie to, że jest córką bardzo zamożnych ludzi. Nie przyszło im do głowy, że majątek można stracić szybciej niż się go zdobyło.

Ostatni raz widziała się z nimi zaraz po śmierci Paula. Kiedy później do nich zatelefonowała, usłyszała, że nigdy jej nie wybaczą, że nie była na pogrzebie ich syna. Mało ich obchodziło to, że była wtedy w klinice, że straciła dziecko - ich wnuczka! - i że w czasie wypadku Paul był w towarzystwie kochanki.

- Przedstawiasz im wszystkich swoich znajomych? - W jej głosie zabrzmiała ironia.

Nawet nie mrugnął.

- Tych, którzy się dla mnie liczą, tak!

Uśmiechnęła się bezbarwnie.

- Przecież, Gabe, my się prawie nie znamy. Czy przedstawiałeś im Jennifer, nim postanowiłeś się z nią ożenić? - dodała spontanicznie i od razu tego pożałowała. Jego znajomość z Jennifer miała zupełnie inny charakter.

- Tak się składa, że owszem. - Oparł się wygodniej i uśmiechnął się kpiąco. - Ojciec omal się nie ugotował z powodu jej urody, a mama zniechęciła ją od pierwszego spojrzenia. Nie muszę ci mówić, kto miał słuszość.

- Musiało to być dla ciebie niełatwe...

- W tym związku nic nie było dla mnie łatwe. Ale... znowu zmieniasz temat.

- To prawda. Bo widzisz, Gabe... Ja nie chcę spotykać się z twoimi rodzicami.

- A to dlaczego?

- Z kilku powodów...

- Wal! - Wyprostował się, cały spięty, i utkwiał w niej wzrok.

- Właśnie miałam to wyjaśnić - odrzekła miękko. Nie chciała, żeby się pokłócili. Z całej duszy nienawidziła awantur. Przeżyła ich zbyt wiele z Pauliem. - No więc, po pierwsze, rzucałoby to niewłaściwe światło na naszą znajomość. A po drugie - dodała mniej pewnie, wiedząc, że czy tego chce, czy nie, i tak będzie musiała to powiedzieć - nie sądzę, żebyśmy po dzisiejszym wieczorze jeszcze się kiedyś spotkali.

Gabe uniósł brwi.

- A dokładnie, co skłania cię do takiego mniemania?

- Nic nowego. Nie zrobiłeś nic złego. Tyle że ja, że ja... - zająknęła się, bardzo przejęta. - Od początku daję ci do zrozumienia, tak czy inaczej, żebyś dał mi spokój, żebyś odszedł.

- Wiem - kiwnął głową. - Ale tym razem brzmi to tak, jakbyś mówiła naprawdę to, co myślisz.

- Zawsze tak myślałam!

Czy aby na pewno? - zastanowiła się w tej samej chwili.

- Czyżby? - Gabe też wyraźnie w to wątpił.

Na pewno! Gabriel Vaughan był człowiekiem, którego starała się unikać, a nie zachęcać. Nie zachęcała go, nie ośmielała. Przynajmniej świadomie. Ale podświadomie? Czy odsuwała go od siebie w sposób nie pozostawiający złudzeń? Do tej pory tak sądziła. Ale... Dostyc tego dobrego! To było

już żenujące. Podniosła się gwałtownie i zebrała talerze. Nie będzie już żadnych serków ani deserków. Powiedziała, co należało powiedzieć. Stało się to wcześniej, niż planowała, ale teraz Gabe powinien już wyjść!

- Mówiłam i mówię, co myślę - powiedziała stanowczo.
- Nie chcę jeść z tobą kolacji. Nie chcę spotykać się z twoimi rodzicami! I... co najważniejsze, nie chcę cię więcej widzieć. Jaśniej już chyba nie można?

Popatrzyła na niego z furją w oczach.

- A co będzie z prezentem świątecznym, który ci dzisiaj chciałem wręczyć? - zapytał serdecznie.

- Nie trzeba było mi kupować - warknęła ze złością.
- Zresztą przy odrobinie szczęścia, znajdziesz na pewno kogoś, komu będziesz go mógł ofiarować. Do świąt jest jeszcze kilka dni.

- No cóż... - Wstał. - Chcesz mnie znowu obrazić, Jane, ale prezent był przeznaczony dla ciebie. Dla nikogo innego!
- Chwyć ją za rękę.

- Nie...

- ..nie chcę - dokończył szorstko. - Wiem. Upór i niezależność ducha to są cechy, które u kobiety należy podziwiać. Ale nie wtedy, gdy graniczą z tępotą i brutalnością. Przed sekundą przekroczyłaś tę granicę.

- Ja...

- Przestań gadać! - krzyknął, przyciągając ją jak piórko do siebie.

- Nie możemy...

- Proszę! - Jęknął, szukając ustami jej warg.

W jednej sekundzie stopniała jak wosk. Było tak, jakby czekała na tę chwilę od momentu, gdy rano pożegnał się z nią przelotnym muśnięciem warg. Jednakże w tym, co działo się teraz, nie było atmosfery żartu ani flirtu. Cała uwaga Gabe'a

skupiła się na namiętności, która rozpałała się między nimi błyskawicznie. Jakby iskra czekała na podmuch. W niej i w nim palił się ten sam ogień.

Nie przerywając pocałunku, Gabe porwał ją na ręce i przeniósł na złotawą sofę, a potem, położywszy się obok, pieścił jej plecy i uda. Gdy objął pierś, pasującą jak ulał do jego dłoni, Jane poczuła rozkoszne ciepło, rozprzestrzeniające się w dół aż po koniuszki stóp. Pragnęła tego mężczyzny! Pragnęła poczuć go przy sobie nagiego, nasycić się jego męskością i dać mu tę samą rozkosz, którą on dawał jej. Kiedy włożył rękę pod kaszmirowy sweterek i odkrył, że nic nie dzieli go od ciepłej piersi, cicho jęknął.

Piersi, mocne i jędrne, były jej prawdziwą dumą. Nie potrzebowała nosić biustonosza i rzadko kiedy go zakładała.

Wstrzymała oddech, gdy Gabe odsunął do góry sweterek, nachylił się i objął wargami twardniejące sutki. Kiedy rozebrał ją, nie zaprotestowała, tylko z jakimś cichym onieśmieniem popatrzyła w jego zachwycone oczy.

- Jesteś piękna, Jane. Taka, jak zawsze myślałem - wymruczał chrapliwie, miażdżąc jej usta pocałunkiem.

Oboje poddali się namiętności, nad którą nie dało się już panować i która wzbierała w nich obojgu z niepowstrzymaną siłą.

- Och Janie, Janie - jęknął, wtulając twarz w jej szyję.
- Gdybyś tylko wiedziała, jak ja tego pragnąłem, jak długo marzyłem, żeby być z tobą tak jak teraz. - Objął ją mocniej i obsypał pocałunkami.

Jane przebiegł mróz. Janie. Powiedział do niej: Janie. Tylko ojciec zwracał się do niej tym zdrobnieniem imienia. Mógł to być oczywiście przypadek. Gabe był podniecony, nie kontrolował się. Podniecony czy nieuważny? Wyczuła,

że jest spięty. Wolno uniósł głowę i wtedy w jego oczach dostrzegła niepokój.

Nie pomyliła się. To nie był przypadek. Zwilżyła językiem wargi.

- Jak długo, Gabe? - spytała zimno.

- Co: jak długo? - powtórzył ostrożnie.

Poruszyła głową, z każdą sekundą pewniejsza, że się nie pomyliła.

- Od kiedy wiesz, kim jestem?

Bo wiedział to. Teraz miała już pewność, że tak. Więc dlaczego nie powiedział jej o tym od razu?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Od kiedy wiesz? - powtórzyła stanowczo. Całkowicie ubrana, stała i patrzyła z góry na Gabe'a siedzącego jeszcze na kanapie. Wciągnął głośno powietrze i zdenerwowany przeczesał palcami włosy. - Nie próbuj się wykręcać - ostrzegła. - Przecież wiem, że zdajesz sobie sprawę z tego, że byłam kiedyś Janette Smythe-Roberts.

- I jesteś nią nadal! - wyrzucił z siebie. Kiedy wstał, wydało jej się, że dzieląca ich przestrzeń nagle się skurczyła. Miała wrażenie, że zemdleje.

Swoim potwierdzeniem odebrał jej resztki tłącej się w głębi serca nadziei, że może jednak mimo wszystko nie znał prawdy.

- Nie zbliżaj się do mnie! - Uskoczyła w bok, gdy wyciągnął do niej rękę. - Dowiem się wreszcie, czy nie?

Nie miała pojęcia, co zamierzał zrobić. Nie zachowywał się co prawda jak ktoś, kto chciałby się mścić, ale może właśnie próba uwiedzenia jej miała być dla niego jakimś zadośćuczynieniem.

Westchnął ciężko i wzruszył ramionami.

- Zorientowałem się w pół minuty po wejściu do kuchni u Felicity - przyznał spokojnie.

- Już wtedy? - W obronnym geście otoczyła się rękami. Drżał jej głos. - Jak to możliwe?

- Oj, Jane. Masz innego koloru włosy i pewną dojrzałość

w twarzy, której przedtem nie było. Jednakże jest to wciąż ta sama twarz, którą zapamiętałem. Na zawsze.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Ale przecież my się nigdy osobiście nie spotkaliśmy. Dopiero w ubiegłym tygodniu...

- Ja ciebie widziałem - uciął ostro. - To prawda, nigdy nas sobie nie przedstawiono, ale widziałem cię na pewnym przyjęciu, na które przyszedłeś z mężem.

Z Paulem. Kochankiem żony Gabe'a. Z człowiekiem, dla którego Jennifer go zostawiła.

- Naprawdę? Nie pamiętam tego wieczoru. - Potrząsnęła głową. Bardzo wiele wydarzeń sprzed wypadku umknęło jej pamięci; to był czas, gdy właściwie już tylko formalnie była żoną Grangera.

- Wyglądałaś wtedy bardzo pięknie - przypomniał miękko. - Miałas na sobie brązową sukienkę, w tym samym odcieniu, co twoje oczy, i delikatny makijaż. Pamiętam też, jakie wrażenie zrobiły na mnie twoje włosy. Nigdy przedtem nie widziałem takiego koloru! Zwieszały się do pasa jak zasłona ze szczerego złota! Nikt mi cię nie musiał przedstawiać, Jane. Zapamiętałem cię i bez tego... błyszczałaś w tłumie jak światło w ciemności.

- Nie poetyzuj, Gabe - uśmiechnęła się niechętnie. - W tym czasie byłam bardzo nieszczęśliwa. Najprawdopodobniej w ogóle nie chciałam pokazywać się na tym przyjęciu. Nie kochałam już mojego męża, czułam się jak w pułapce.

- Aż w końcu odszedł.

- Aż w końcu odszedł - powtórzyła drżącym głosem. - Z twoją żoną.

Wzruszył ramionami.

- I tak toczy się bajka.

- Niestety - spojrzała na niego ostro - w tej historii nie ma nic z bajki... i to dla nikogo z nas. A ty przez całe dwanaście dni po prostu igrasz ze mną.

- Jak myślisz, po co?

- Nie mam pojęcia. Domyślam się, że po to samo, po co starałeś się odnaleźć mnie po wypadku.

- Owszem, po to samo. Tyle że nie jest to to, o czym myślisz. A zresztą, wtedy dałem spokój, gdy dowiedziałem się, że straciłaś dziecko.

- A zatem wiedziałeś - powiedziała ciężko, nie patrząc na niego. Utkwiła wzrok w magnetofonie. Już dawno nagranie skończyło się, ale żadne z nich tego nie zauważyło, tak byli w siebie wpatrzeni. Pocałunki, pieszczoty... Czy wciąż chodziło mu o to, żeby ktoś wreszcie zapłacił za to, co stało się trzy lata temu? - W takim razie wiesz również - odezwała się w końcu - że jeśli w ogóle jest jakaś ofiara związku mego męża z twoją żoną, to było nią moje małżeństwo!

- Jane...

- Powiedziałam: nie zbliżaj się do mnie! - krzyknęła, gdy postąpił krok w jej stronę. - Co sobie wyobraziłeś, gdy spotkaliśmy się po latach? Pomyślałeś, że nie mam już nic do stracenia, więc można mnie niszczyć inaczej?

- To znaczy jak? Nie rozumiem. - Ucichł nagle i znieruchomiał.

- Powiedz mi... Pamiętasz tę naszą rozmowę o Janette Smythe-Roberts? Przez cały czas nabijałeś się ze mnie! - Ironicznie pokręciła głową. A myślała wtedy, że to ona jest niezupełnie uczciwa!

- Chodziło mi o to, żebyś zaczęła się bronić - powiedział niecierpliwie. - Ale Niestety...

- A przed czym niby miałam się bronić? Przed opinią

manipulantki bez serca, ograbiającej własnych rodziców? Już ci mówiłam, Gabe... wchodzisz jak taran w cudze życie, a nad konsekwencjami w ogóle się nie zastanawiasz. Co cię obchodzi czyś ból...

- To nieprawda! - Zacisnął kurczowo dłonie.

- Może źle się wyraziłam, może to nie jest tak, że nic cię nie obchodzi. Ty po prostu jakby o niczym nie wiesz. A to chyba jeszcze gorzej. Jak sądzisz, co dzieje się z ludźmi, kiedy odbierasz im - oczywiście kupując! - firmę, która niekiedy jest dziełem całego ich życia? Myślisz, że co? Wzruszają ramionami i zaczynają wszystko od początku?

- To jest biznes, Jane.

- To samo powiedział mój ojciec, kiedy próbował tłumaczyć twoje zachowanie. Ale ja określiłabym to zupełnie, ale to zupełnie inaczej.

Gabe głośno wciągnął powietrze.

- Nie zapominaj, kto tu był prawdziwym winowajcą. Z całą pewnością nie ja!

Paul... Zawsze wszystko wracało do jego osoby.

- Jeśli chcesz winić Paula, to bądź łaskaw włączyć w to również swoją żonę. Myślisz, że komu chciał imponować rozrzutnością, dla kogo stał się hazardzistą?

- Przyjmuję, że ona też po części jest winna.

- Czyżby? - Uśmiechnęła się ironicznie. - Była piękna, amoralna, zainteresowana wyłącznie sobą. Wiedziała, że jestem w ciąży, bo Paul jej o tym powiedział, ale jej to nie obchodziło.

- Nie mogła mieć dzieci - wtrącił łagodnie. - Robiła sobie badania i okazało się, że jest bezpłodna. Miała na tym punkcie obsesję.

- Może, ale nie dawało jej to prawa, żeby odbierać męża kobiecie, która akurat była w ciąży.

- Zgadzam się. - Westchnął ciężko. - Niestety, robiła to. W twoim przypadku doprowadziło to do nieszczęścia.

Jane spojrzała na niego i nagle dotarł do niej sens tego, co powiedział. Brzmiało to aż niewiarygodnie, ale...

- Mam rozumieć, że postąpiła tak nie tylko jeden raz?

Przetarł ręką oczy.

- Jennifer miała ze sobą duże problemy. Fakt, że nie mogła mieć dzieci...

- Zadałam pytanie, Gabe.

Popatrzył jej prosto w twarz.

- Zdaje mi się, że już ci mówiłem, że interesowali ją, bardziej cudzy mężczyźni niż własny.

- Mnie chodzi o kobiety, o ciężarne kobiety...

- Wiem - przerwał szorstko, odwracając wzrok. - Dla Jennifer nie było nic piękniejszego od kobiety spodziewającej się dziecka. Bo taka kobieta nosi w sobie życie, jest piękna inaczej. Dla niej to piękno było nieosiągalne. Chciała, a nie mogła z nim rywalizować.

- To chore myślenie! - Jane była autentycznie wstrząśnięta. - Kobiety w ciąży wcale nie czują się ani ładniejsze, ani lepsze. Pewnie, że w tworzeniu życia, w noszeniu człowieka pod sercem jest coś magicznego, cudownego, ale... odczuwasz mdłości, a na początku - przypomniawszy sobie siebie z tego okresu - jest to wprost okropne. No a potem człowiek ma uczucie, że pęcznieje i w ogóle robi się nieciekawym.

- Kobieta w ciąży nie pęcznieje - zaprzeczył delikatnie.
- Kwitnie.

- Tak może mówić wyłącznie ktoś, kto ciąży nie przeżywał. Wierz mi, większość kobiet odczuwa to nader prozaicznie...

W jej przypadku tak właśnie było. Czuła, że robi się gruba

i rozlała, a wzrok Paula wyłącznie ją w tym przekonaniu utwierdzał.

- Możliwe - zgodził się bezradnie Gabe. - Jednakże dla kobiety, która nigdy nie była i nie miała być brzemienna, ciąża to najcudowniejszy skarb. Nie myśl, że bronię Jennifer...

- Mam nadzieję! Bo w moim przypadku nie ma dla niej żadnego wytłumaczenia.

- Ani w twoim, ani w żadnym innym - przytaknął smutno. - Przedstawiłem ci jedynie jej tok rozumowania. Taka już była...

- Więc czemu od niej nie odszedłeś? Dlaczego godziłeś się z takim postępowaniem? Dlaczego ją ze wszystkiego rozgrzeszałeś?

W kąciku ust Gabe'a zadrgał nerw.

- Nie rozgrzeszałem jej, Jane. Nie pochwalałem nigdy takich zachowań. Myślałem jedynie, że zostając z nią, mogę...

- Pokręcił głową. - To nieprawda, że mieliśmy się rozwieść - powiedział gwałtownie. - Jennifer też w to nie wierzyła.

- Ale przecież... Jak to? Przecież od ciebie odeszła... Westchnął.

- Nie odeszła.

- Ale...

- Wiem, tak wtedy powiedział ci Paul. Wszyscy tak sądzili, ale wierz mi, Jennifer nie odeszła ode mnie. Ileż to razy chciałem, żeby tak się stało, ale... Byłem dla niej kołem ratunkowym, kimś, kogo natychmiast się czepiała, gdy w którejś ze swych miłostek zaszła za daleko. Tak jak w przygodzie z Pauliem.

Jane miała absolutny mętlik w głowie. O czym właściwie mówił Gabe? Przecież Paul powiedział jej wyraźnie: „Ochodzę, ja i Jennifer chcemy być razem”.

- Mam rozumieć... - Zwilżyła językiem usta. - Chcesz mi powiedzieć, że mój mąż i twoja żona nie mieli być razem?

- Dokładnie. W dniu wypadku Jennifer była potwornie zdenerwowana. Granger zadzwonił, żeby jej powiedzieć, że od ciebie odchodzi i czeka na tę samą jednoznaczną decyzję z jej strony. Spotkała się z nim tylko po to, żeby oświadczyć, że jest skończonym durniem, że nie ma najmniejszego zamiaru mnie rzucać i żeby wracał do domu i udobruchał żonę, nim ta uzna, że rozwód z takim palantem byłby dla niej czymś najlepszym pod słońcem. Są to jej własne słowa, Jane, nie moje... Nieraz zastanawiałem się, czy to w ogóle był wypadek - dokończył cicho.

Spojrzała na niego oszołomiona. A jeśli nie wypadek, to co? Ale... Czyż nie mówiła sobie wtedy, że dla Paula nie ma już w jej życiu miejsca, że spalił wszystkie mosty? Czy mógł pomyśleć, że dalsze życie nie ma sensu? Nie. Nie wierzyła w to. Był zbyt egoistyczny, za bardzo zapatrzony w siebie, żeby odebrać życie sobie i Jennifer...

- Tego jednak nigdy nie będziemy wiedzieli. Może to i lepiej...

W głębi duszy zgadzała się z Gabe'em. Drażnienie tej sprawy nie przyniosłoby im nic dobrego.

- Miłość to coś bardzo dziwnego - powiedziała smętnie. - Otrzymują ją ludzie, którzy tak naprawdę w ogóle na nią nie zasługują.

- A śmierć? Niby wszystko kończy, a przecież ty wciąż uciekasz przed Paulem Grangerem.

- Nigdy... - Pokręciła głową. - Ale odeszliśmy od - tematu.

- Chyba nauczyłem się tego od ciebie - spróbował zażartować Gabe, choć nie potrafił ani sam zmusić się do uśmie-

chu, ani też nie oczekiwał go od niej. - Na czym to stanęliśmy? Przypomnij mi, bo się pogubiłem.

Jej też już się wszystko kręciło. Ważne było jedynie to, że przez całe dwanaście dni Gabe wiedział, kim jest Jane Smith. I przyczyny, dla których zachowywał tę wiedzę dla siebie. Spojrzała na niego zimno.

- Główna sprawa to to, że dla mnie przeszłość jest czymś zamkniętym i martwym. Jak myślisz, czemu przez dwa tygodnie proszę cię, żebyś dał mi spokój? Bo nie chcę sobie niczego przypominać!

Gabe pobladł.

- Przedtem nie wyobrażałem sobie, co stanie się między nami. To tak niedawno...

- Niedawno? Moje małżeństwo okazało się pomyłką, to fakt, ale poza tym jestem normalną kobietą, z normalnymi potrzebami, a ty...

- Tak się złożyło, że jesteś pod ręką - dokończył z niesmakiem. - To chciałaś powiedzieć?

Nie, wcale nie to! W ciągu tych trzech lat poznała wielu mężczyzn, tak samo przystojnych jak i on i także nią zainteresowanych. Ale żaden z nich nie spotkał się ze wzajemnością z jej strony, żadnemu nie zezwoliła zbliżyć się do siebie tak szybko, zaledwie w ciągu kilku dni. Żeby to zrozumieć, musiałyby wgłębić się w swoje uczucia. Zresztą, chyba już je należycie oceniła i nazwała.

- Mniej więcej - rzuciła hardo. - Ma to pewnie jakiś związek z porą roku. Spójrzmy prawdzie w oczy... w święta nikt nie lubi być sam.

Dziwne to, ale mimo że Wigilia w tym roku miała się niczym nie różnić od trzech ostatnich, które spędzała z rodzicami, miała wrażenie, że będzie się czuła bardzo, ale to bardzo samotnie.

- W takim razie lepiej, żebym ci się tu nie plątał. - Wziął z krzesła kurtkę, ale jej nie włożył. - Na bal sylwestrowy zdążysz sobie jeszcze kogoś znaleźć.

Zabolały ją te słowa - bo i w takiej intencji zostały powiedziane - ale nie próbowała się bronić. Nie starała się też zatrzymać Gabe'a, gdy wyszedł z mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Nie było sensu go zatrzymywać. Powiedzieli sobie wszystko, co było do powiedzenia. Może nawet więcej niż trzeba.

W dalszym ciągu nie miała pojęcia, dlaczego chodził za nią tak wytrwale przez ostatnie dni. Przez cały czas wiedział, że ma do czynienia z Janette Smythe-Roberts, więc stawało się to jeszcze bardziej niezrozumiałe. Dwie sprawy przedstawiały się natomiast dla niej aż nadto jasno.

Po pierwsze, Gabe musiał bardzo kochać swoją żonę. Inaczej nie tolerowałby jej zachowania. Po drugie, nie musiała wcale, specjalnie zagłębiać się w swoje uczucia, żeby wiedzieć, dlaczego zachowywała się wobec niego tak, a nie inaczej. Jakimś cudem - bo naprawdę nie pojmowała, jak coś takiego mogło się zdarzyć - zakochała się w Gabrielu Vaughanie. Głupio, bezgranicznie, do szaleństwa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rano w Wigilię jechała do rodziców z jeszcze większymi oporami niż zwykle. Dni po rozstaniu z Gabe'em przeżyła w tak ogromnym napięciu, że w konsekwencji wyglądała dość mizernie. Makijaż niewiele mógł pomóc. W widoczny sposób straciła też na wadze. Żeby ukryć to przed rodzicami, włożyła pomarańczową obszerną bluzę i luźne czarne spodnie. Nie dało się jednak zrobić nic, żeby zatuszować znużenie i smutek w oczach.

Dopuściła do tego, żeby Vaughan w końcu ją doścignął. Mało tego - pozwoliła sobie zakochać się w nim. Może właśnie o to mu chodziło, powtarzała sobie raz po raz, gdy już nawet pracą nie była w stanie zagłuszyć myślenia o nim. Jeśli tak, to udało mu się, choć może o tym nie wiedział. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Wysiadając z samochodu, zmusiła się do uśmiechu. Czekąco ją kilka godzin udawanej radości - tyle chyba potrafi znieść. W końcu była to Wigilia.

- Bardzo jesteś blada, córeczko - powiedziała z niepokojem matka, całując ją na powitanie.

- I ubyło ci chyba parę kilogramów - dodał ojciec.

Czy przed rodzicami da się w ogóle coś ukryć?

- Wy za to wyglądacie aż za dobrze - zażartowała. - Jeden mamusiny lunch i zaraz wszystko nadrobie.

- Mam nadzieję! - Ojciec udał srogiego. - Ale po kolei. Napijmy się mojego ponczu?

- I nim przyjdzie wieczór, będziemy ululani - roześmiała się Jane. Nagle poczuła, że mimo wszystko cieszy się, iż w tym szczególnym dniu może być w domu z rodzicami.

- Miejmy nadzieję, że nie. - Matka uśmiechnęła się. - Mamy gości. Przyjadą po lunchu.

Rodzice nie wspomnieli, że ktoś ma wpaść, ale jeśli nawet nie tęskniła do towarzystwa, ucieszyło ją to ze względu na nich. Kiedy ojciec był czynny zawodowo, kwitło życie towarzyskie. A teraz... Minęły lata od czasu, gdy w Wigilię ich dom był pełen gości...

- W takim razie proponuję, żebyśmy napili się tylko po troszeczkę i zajęli prezentami. A potem pomogłabym ci, mamusiu, przygotować lunch.

Pani Weaver zawsze spędzała Wigilię u siostry w Brighton. „Zimno tam ciągle i wieje” - narzekała niezmiennie gosposia, ale Smythe-Robertsowie upierali się, że w święta trzeba być z rodziną.

- Kierowca nie pije nawet w święta, co, Janie? - zażartował ojciec.

Janie... Niedawno tak nazywał ją Gabe... Nie, nie będzie o nim dziś myślała.

Rodzice byli w świetnym humorze. Nie pozwoliłaby sobie, by zdradzić się ze swymi nastrojami i popsuć im cały dzień. Miało się to jednak okazać więcej niż trudne, gdyż w ostatniej chwili dowiedziała się, że ich gośćmi będą Gabe i państwo Vaughanowie.

Nie przyszło jej przedtem nawet do głowy, żeby spytać, kto ma przyjść. Uznała za oczywiste, że będą to jacyś znajomi rodziców, których znała od dziecka, przyjaciele, z którymi będzie się czuła najzupełniej swobodnie. Nagle

rozległ się dzwonek do drzwi, oboje rodzice poszli otworzyć, po czym do pokoju wszedł najpierw, wprowadzony przez matkę, wysoki, ciemnowłosy pan o skroniach przyprószonych siwizną. Chwilę później zjawił się ojciec z wysoką, elegancką blondynką. Brzmienie jej miękkiego amerykańskiego akcentu zaalarmowało Jane, zanim jeszcze w progu stanął Gabe.

W pierwszej chwili dosłownie zgłupiała. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że jej rodzice mogą zaprosić na Wigilię Gabe'a z rodzicami. Jego ledwie znali, ich chyba wcale, więc, do licha, o co w tym wszystkim chodziło?

Zrozumiała to od razu, gdy z najwyższym zdumieniem spojrzała na Gabe'a i odpowiedział jej z chłodnym wyzwaniem w oczach. Tego samego dnia, gdy mama i ojciec tak niespodziewanie przyjechali do Londynu, powiedział jej rano, że ma ważne spotkanie w interesach i że musi zdążyć na dziesiątą. To zatem on zaproponował ojcu wejście w jakiś interes, to dzięki niemu ojciec tak raptem odmłodził, a matka była uszczęśliwiona. Nie! To niemożliwe, żeby znowu przez niego cierpieli, żeby zamierzał ich zwodzić. Na pewno nie. Człowiek, którego dane jej było poznać przez ostatnie dwa tygodnie, człowieka, którego kochała, nie postąpiłby tak niecznie. A zatem, o co w tym wszystkim szło? Co to miało znaczyć?

- Myśl, myśl, bo jest o czym - wymruczał szorstko, stając u jej boku - ale tymczasem przywitaj się z moimi rodzicami.

Rzecz w tym, że myśleć nie była w stanie. Kiedy przedstawiał ją swemu ojcu, była taka zdenerwowana, że nie wiedziała nawet, jak to się odbyło. Zauważyła, że ojca i syna łączy niezwykle podobieństwo, z tą jednakże różnicą, że w świetlistych oczach witającego się z nią pana Vaughana

dostrzegła ciepło i serdeczność. Marisa Vaughan, chociaż już po sześćdziesiątce, była niewątpliwie piękną kobietą; czuło się, że jest to osoba szczęśliwa. Oboje Vaughanowie - nie na to nie mogła poradzić - wzbudzali w niej sympatię.

- Janette to takie ładne imię - powiedziała, witając się z nią, matka Gabe'a. - Pasuje do ciebie. - Ścisnęła Jane serdecznie za rękę i odwróciła się, by wziąć szklaneczkę ponczu na rozgrzewkę.

- Janette proponuje, żebyśmy oboje przed kolacją wyszli na krótko się przejść - odezwał się głośno Gabe. - Czy któreś z was ma ochotę na spacer?

- Dobra myśl. - Pan Vaughan aprobująco kiwnął głową. - Ale po tej jeździe ciepło - wyciągnął ręce w stronę ognia na kominku - kusi mnie jeszcze bardziej. - Zaśmiał się do syna.

- Weź moje palto, Janette - przykazała jej matka. - Uwważ, żebyś się nie przeziębiła.

Jane nie miała ochoty na spacer, niczego takiego nie zaproponowała, ale jaki miała wybór, gdy patrzyły na nią cztery starsze osoby? Żadnego, jeśli nie chciała się zachować niegrzecznie.

- Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli powiesz, co masz powiedzieć, poza zasięgiem słuchu moich starych - rzucił, gdy tylko wyszli na dwór i poszli w stronę padoku i stajni, gdzie niegdyś Jane trzymała swojego konia.

Nie miała pewności, czy zdoła mu coś powiedzieć, czy w ogóle będzie w stanie mówić. Przenikała ją pełna zdumienia świadomość, że Gabe w ogóle tu jest. A myślała, że nigdy już go nie zobaczy. Żyła z tym przeświadczeniem kilka dni i była wprost udęczona. Teraz też coś się w niej skręcało aż do bólu, ale zupełnie z innych powodów.

- Dlaczego, Gabe? - wydusiła wreszcie.

Patrzył przed siebie na grudniowy, pusty krajobraz. W nocy spadł nieduży śnieg, który pokrył wszystko świeżą bielą.

- Dlaczego przyjechałem tu z moimi rodzicami? Bo zostaliśmy zaproszeni! - odparł gniewnie. - Niegrzecznie byłoby nie przyjąć zaproszenia. - Odwrócił głowę i spojrzał na padok.

Widziała jego ponury profil, zapadnięte policzki, zaciśnięte szczęki. Wyglądał, jakby czekał na uderzenie.

Przemogła ucisk w gardle.

- Nie o to chodzi... Pytam, dlaczego starałeś się mnie odnaleźć trzy lata temu?

Czuła, że gdyby знаła odpowiedź na to pytanie, to być może, ale tylko być może, znalazłaby klucz do całej zagadki. Popatrzyła na nią, lekko marszcząc brwi.

- Myślałem, że już wiesz - rzucił ze złością. - Chciałem się mścić, prawda? Na kobiecie, którą dla mojej żony opuścił mąż, którą po śmierci ich dwojga zaszczuła prasa, która straciła dziecko. Tak to sobie wydumałaś, prawda? Jak widzisz, przemyślałem co nieco. - Pokręcił głową. - Wnioski nie są specjalnie urocze.

Patrzyła na niego i patrzyła. Kochała tego mężczyznę, nie mogła od niego oderwać oczu.

- Ja... - Przełknęła ślinę. - Mogłam się mylić...

- Co to znaczy: mogłam?! - Odwrócił się do niej i mocno chwycił ją za rękę. - Nie ma żadnego: „mogłam”. Jeśli tak myślałaś, to się myliłaś. Koniec, kropka. - Zabłyśły mu oczy, a w policzku drgnął mięsień. - Jest to takie dalekie od prawdy, że aż śmieszne. Tyle że mnie wcale nie jest do śmiechu!

W ostatnich dniach wiele spraw przemyślała i czuła, że w tym, co sądziła o Gabie aż do obecnego z nim spotkania, tkwił jakiś błąd.

Śmierć Jennifer z całą pewnością była dla niego ciosem, ale nie winił za tę śmierć nikogo. Lepiej niż ktokolwiek znał motywy postępowania swojej żony i jej chore obsesje.

A skoro przed laty nie szukał zadośćuczynienia, to czego? To właśnie musiała wiedzieć.

- Gabe... myślałam się - powiedziała, kładąc dłoń na jego rękę i nie zabrała jej, mimo że się zachnął. - Teraz to wiem. Teraz cię znam.

Pokręcił głową.

- Nie, Jane. Wcale mnie nie znasz.

I nigdy nie poznasz? Czy to chciał powiedzieć? Nie wiedziałaby, jak żyć, gdyby miała go już więcej nie zobaczyć. Kilka dni bez niego to był koszmar, lecz gdyby przyszło tak cierpieć bez końca...

- Posłuchaj, ja naprawdę chcę cię przeprosić. Za to, co myślałam.

- W porządku. - Kiwnął chłodno głową. - Możemy już wracać?

- Dlaczego pomagasz mojemu ojcu?

Nie poruszyła się nawet, wiedząc, że z chwilą znalezienia się w domu Gabe znów stanie się dla niej kimś obcym.

- Czyli że o tym też już wiesz. - Zrobił złośliwą minę.

- Dlaczego pytasz? Ano pewnie dlatego, że podejrzewasz mnie o to, że działałam z najniższych pobudek i usiłuję go wpłatać w jakąś niecną aferę...

- Gabe... -jęknęła poruszona jego goryczą. - Nie miałam racji! Wiem, że nie miałam! Przepraszam! Co więcej mogę powiedzieć? - Spojrzała na niego błagalnie.

W zupełnej ciszy przyjrzał się jej uważnie.

- A co byś chciała powiedzieć?

Mnóstwo rzeczy, ale przede wszystkim to, że go kocha. Ostrożność, której nauczyła się w ciągu minionych trzech lat,

nie pozwalała jej na aż taką śmiałość. Co by się stało, gdyby odrzucił tę miłość jak rękawiczkę?

- Twojej mamie chyba się spodobałam - powiedziała lekko, przypominając sobie opinię pani Vaughan na temat Jennifer.

Gabe rozchmurzył się nieco.

- Owszem - oświadczył sucho. - Zresztą to żadna niespodzianka. Wiedziałem, że tak będzie.

- Powiedz mi, dlaczego przed trzema laty próbowałeś mnie znaleźć? Proszę... - dodała błagalnie, widząc, że znowu się nachmurzył. Miała pewność, że w odpowiedzi na to pytanie jest klucz do wszystkiego.

- Czy ty w ogóle wiesz - zaatakował gorzko - co to znaczy kochać? Kochać tak, że przestaje się logicznie myśleć? Że nie widzi się świata poza ukochaną osobą? Masz o tym choćby blade pojęcie? I oto nagle taka osoba znika, jakby jej nigdy nie było, i sam już nie wiesz, czy ci się to wszystko przypadkiem nie przyśniło. Wyobrażasz sobie?

Pobladł i zacisnął kurczowo opuszczone po bokach dłonie. Zaczynała to pojmwować. O, tak, coraz lepiej! A skoro wciąż mówił o swej zmarłej żonie w taki sposób i z takim żarem, to jej własna miłość była warta tyle co nic.

- Przykro mi... Śmierć Jennifer...

- Jennifer? - powtórzył zaskoczony. - Ależ ja nie mówię o Jennifer! Była moją żoną, więc to, co się z nią działo, musiało mnie formalnie obchodzić. Nigdy też nie czułem do niej nienawiści. Było mi jej żal. Kiedy doszło do wypadku, nie kochałem jej już od lat. Jeśli w ogóle kiedykolwiek była to miłość - dodał cicho. - Jennifer na początku zafascynowała mnie sobą, a potem, po ślubie, fascynacja ta przemieniła się we współczucie i przyjaźń. Maską egoistki skrywała bardzo nieszczęśliwą kobietę, która uważała się za mniej warto-

ściową od innych. Wyjaśniałem ci już, dlaczego. Zrozum mnie, Jane... było mi żal Jennifer, dbałem o nią, ale jej nie kochałem.

- Ale... - Spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Jeśli nie mówił o Jennifer, to kim była ta tajemnicza osoba, którą pokochał? - A ta wspaniała dziewczyna, która zniknęła ci z oczu, to...

- To co? - powtórzył szorstko.

- Gdzie ona jest? Kto to jest?

Przyjrzał się jej uważnie i nagle, widząc, że naprawdę się pogubiła, złagodniał.

- Naprawdę nie wiesz? - Pokręcił głową i opierając się o ogrodzenie, postawił kołnierz kurtki, osłaniając się przed przenikliwym zimnem.

- Pewnego wieczoru byłem na przyjęciu, na jednym z tych nie kończących się przyjęć, które nie sprawiają przyjemności, ale na których nie sposób nie być. Rozejrzałem się i wśród wielu gości... no cóż, banał... spostrzegłem ją.

Jane nie była w stanie się poruszyć. Prawie nie mogła oddychać. Gabe, całkowicie zatopiony we wspomnieniach, nie patrzył teraz na nią.

- Mówiłem sobie: Nie bądź głupi. Miłość nie przychodzi nagle, nie ma miłości od...

- ...pierwszego wejrzenia - dokończyła schrypniętym głosem, przypominając sobie, że pytała ją kiedyś, czy wierzy w takie uczucie. Odpowiedziała wtedy, że zdecydowanie nie.

- Od pierwszego wejrzenia - powtórzył pogardliwie. - Nie potrafiłem jednak oderwać od tej dziewczyny oczu. Obserwowałem ją i uświadomiłem sobie, że jest nie tylko śliczna, ale i pełna wewnętrznego ciepła. Rozmawiała ze wszystkimi tak samo serdecznie. Był tam jakiś starszy mężczyzna. Przyjechał już lekko wstawiony. Wszyscy od niego stronili,

ale ona usiadła przy nim. Rozmawiali chyba z godzinę. Przez ten czas prawie wytrzeźwiał, a nawet zaczął się uśmiechać.

- Miesiąc temu umarła mu żona - wtrąciła miękko Jane.
- Tego wieczoru po raz pierwszy od jej śmierci znalazł się w towarzystwie. Ludzie stronili od niego nie dlatego, że sobie wypił, ale dlatego, że nie wiedzieli, co mówić w związku z tragedią, jaka go spotkała.

Pamiętała ten wieczór bardzo dokładnie. Po raz ostatni wybrała się wtedy gdzieś z Paulem. Kilka dni później nie żył.

Gabe skinął głową.

- Tak, wiem. Dowiedziałem się, kto to jest i kim jesteś ty. Byłaś żoną innego!

A więc to ona była tą dziewczyną, którą uznał za najwspanialszą na świecie i która potem zniknęła nie wiadomo gdzie. Gabe zakochał się w niej... Przed trzema laty szukał jej nie z pragnienia zemsty, ale dlatego, że pewnego wieczoru, na pewnym bzdurnym przyjęciu, zakochał się w niej bez pamięci...

- A ty mężem Jennifer.

- Gdy zacząłem cię szukać, już nie. Wtedy, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, uznałem, że skoro oboje jesteśmy w związkach małżeńskich, nie będę się do ciebie zbliżał. I nie zbliżyłem się. Przyznaję natomiast, że potem, po ich śmierci, może niepotrzebnie działałem w takim pośpiechu. Nie wiem, może podświadomie coś przeczuwałem... Tak czy owak, sprawdził się najgorszy z moich snów. Zniknęłaś. Robiłem wszystko, żeby cię znaleźć, ale ledwie wpadłem na jakiś trop, wyrastał przede mną mur. Po trzech miesiącach dowiedziałem się, że poroniłaś...

- Dlatego teraz nie kupiłeś firmy Warnera, a zdecydowałaś się zawrzeć z nim umowę - stwierdziła bez wahania.

- Miałem wrażenie, że historia się powtarza. Minęły jedynie trzy lata, od kiedy ty...

- Poroniłam przecież nie przez ciebie...

- Ale może mogłem wtedy zrobić coś, co by powstrzymało Jennifer! Kto wie? Nie kiwnąłem palcem... Potem próbowałem sobie wmówić, że cię w ogóle nie było. Wróciłem do Stanów, zagrzebałem się po uszy w pracy i mówiłem sobie, że Janette Granger to tylko stworzony przeze mnie mit. Pocieszałem się myślą, że gdybym cię nawet w końcu odnalazł, to pewnie byś mnie nienawidziła. Że najlepiej, jeśli pozostaniesz marzeniem, moim pięknym snem. Z marzeniami i snami jest tylko jeden kłopot. Przerastają rzeczywistość.

- Uśmiechnął się smutno. - Żadna normalna kobieta nie może dorównać tej wyśnionej, wymarzonej. Przynajmniej mnie się to nie zdarzyło. - Odwrócił gwałtownie głowę w stronę pustego wybiegu. - Dwa tygodnie temu... spotkałem cię znowu, tak niespodzianie. Wydałaś mi się dokładnie taka, jaką sobie ciebie wymyśliłem. Byłem pewien, że ty też mnie rozpoznasz, ale pomyślałem sobie - teraz widzę, że bez sensu - że jeśli poznasz mnie lepiej i zrozumiesz, że nie jestem draniem, za jakiego mnie miałaś, to może... Zresztą, nieważne, co sobie myślałem. Pomyliłem się, Jane, i to bardzo. Mój błąd.

- Mam na imię Janette - powiedziała miękko. - Janie, jeśli wolisz. Tak zawsze zdrabniał moje imię tato...

Gabe ją kochał. Przynajmniej wtedy, przed trzema laty. Czy dorastała do tamtych marzeń, do ideału?

- Wtedy, u ciebie w domu, powiedziałem do ciebie: Janie - wypowiedział głośno swoje myśli.

- Tak... I nadał nie wiem, co robisz, żeby pomóc mojemu ojcu.

- Będzie dyrektorem firmy Richarda. Richard jest dobry w negocjacjach, a twój ojciec sprawdzi się znakomicie na stanowisku kierowniczym. We dwóch w pół roku postawią

zakład na nogi... W pewnej kwestii miałaś rację. Trzy lata temu nie miałem pojęcia o długach, które musiał spłacić twój ojciec.

- Długach Paula - zaakcentowała twardo. - Ojciec zrobił to dla mnie. A to, co teraz ty robisz dla niego, przywraca mu życie - jemu i mamie. Już choćby za to mogłabym cię pokochać - dodała nieśmiało.

- Daj spokój, Jane...

- Ale ja kocham cię nie tylko za to - mówiła dalej, podnosząc oczy, które w bledziutkiej twarzy wydawały się jeszcze większe niż zwykle. - Kocham cię, bo jesteś dobry i miły, troskliwy i... kochany. A kiedy mnie całujesz... - Roześmiała się z całego serca.

- Kiedy cię całuję - powtórzył gardłowo - czuję się tak, jak tego wieczoru, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Przeszuję myśleć logicznie, nie czuję nic, tylko ciebie. Każdym nerwem, całym sobą. Och, Janie!

Nie trzeba jej było zachęty. Rzuciła mu się w ramiona i oboje zatracili się w czystym pięknie wzajemnego kochania. Jak długo to trwało, nie umiałyby powiedzieć. W końcu oboje wybuchnęli śmiechem - ona z głową na jego piersi, a on z roziskrzonymi oczyma.

- Pozostaje nam jedynie powiedzieć naszym szanownym rodzicom, że zamierzamy się pobrać. Ciekawe, jak to wytłumaczymy, skoro moi nie wiedzą nawet tego, że się znamy. - Zachichotała cicho.

- Mówisz o małżeństwie, Jane? - Spojrzał na nią badawczo. - Aż tak mnie kochasz?

Tak, albo i jeszcze więcej. Małżeństwo z Pauliem było niewolą i cierpieniem; z Gabe'em wyobrażała je sobie jako partnerstwo i miłość. Ani przez moment nie wątpiła, że będzie takie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Złoto. Lśniące, ciepłe, żywe złoto.

Jej włosy, od prawie roku naturalnej barwy, przelewały się między palcami Gabe'a jak płynne złoto. Był nimi tak zachwycony, że nie zauważył, że Jane obudziła się i patrzy na niego.

To był dobry rok - rok, w którym się pobrali i przenieśli do własnego domu w Londynie. Jego urządzenie pochłonęło ją w pierwszych miesiącach doszczętnie, lecz już niedługo - bardzo niedługo! - jej czas miało wypełnić dziecko.

Bycie z Gabe'em, bycie jego żoną, było dla Jane największym szczęściem. Zasypiała w jego ramionach, budziła się u jego boku, całe pracowite dni spędzali razem. Przyszli dziadkowie, spragnieni pierwszego wnuka, byli u nich stałymi gośćmi.

- Dzień dobry, kochany. - Uśmiechnęła się do męża, ucieszona radością, która rozjaśniła mu twarz, gdy spostrzegł, że się obudziła.

Pocałował ją w usta.

- Tak sobie właśnie rozmyślałem... Jak ja w ogóle żyłem, nie mając ciebie. Jesteś taka prześliczna.

Roześmiała się i delikatnie dotknęła jego policzka.

- Jak mały wieloryb!

Położył dłoń na wybrzuszeniu kołdry.

- Dla mnie jesteś piękna.

Wiedziała, że naprawdę tak czuł. Cieszył się tym, co przeżywała przez te wszystkie miesiące ciąży, starał się, na ile to możliwe, uczestniczyć we wszystkim. Uczył się też przewijać niemowlaka, ćwicząc na sześciomiesięcznym Thomie, synku Richarda i Felicity, chociaż małemu wyraźnie się to nie podobało.

- Spałaś dziś niespokojnie. Wszystko w porządku?

Uśmiechnęła się szeroko.

- W porządku, ale to się już zaczyna. - Lekkie skurcze, które zaczęła odczuwać wieczorem, przybrały w nocy na sile, lecz jeszcze nie tak, żeby trzeba było jechać do szpitala. Ćwiczyła oddychanie, przygotowując się do ciężkiej przeprawy, która nieuchronnie czekała ją już niedługo.

Gabe zerwał się z łóżka tak szybko, że nie zdążyła nawet chwycić go za rękaw. Uniosła się tylko na łokciu i patrzyła, jak dosłownie biega po sypialni. Sprintem włożył na siebie ubranie i wyciągnął z szafy jej własne.

- - Gabe... - przerwała w końcu tę bieganinę. - To jeszcze kilka godzin.

Zatrzymał się raptownie, usiadł na brzegu łóżka i delikatnie ujął ją za ramiona.

- Nie będę ryzykował, Jane. Gdyby coś się stało...

Położyła mu palec na ustach.

- Nic się nie stanie. Pokochaliśmy się wbrew wszystkiemu i nic nas nie może rozdzielić. - W głębi serca czuła i miała pewność, że będą razem teraz i na zawsze. - Uśmiechnęła się do niego z czułością. - Ale może i masz rację, może powinniśmy już jechać do szpitala. - Syknęła, gdy dużo silniejszy skurcz odebrał jej oddech. - Coś mi się wydaje, że nasza dziewczynka uznała, że chce się dziś - urodzić...

Sześć godzin później, kiedy urodziła się Ami, dziewczyneczka o złotych włosach Jane i niebieskich oczach Gabe'a, poczuli, że ich świat się dopełnił.

- Wspaniała - powiedział, patrząc z dumą na dziecko.
- Aż mi się wierzyć nie chce, że obie jesteście moje.
- Oczywiście, że jesteśmy twoje! - zawołała Jane.

Wierzyła w Gabe'a, w trwałość swojego małżeństwa, w to, że będą zawsze szczęśliwi. Że obrączka lśniąca na jej palcu nigdy nie pogrąży się w rzeczonym mule.

RS